

Zdrajca czy bandyta? Nieoczywisty przypadek por. Jerzego Tabęckiego „Lassa”



Ppłk/gen. Antoni Chruściel „Monter”, szef Okręgu Warszawa AK, dowódca Powstania Warszawskiego. Wydał wyrok na por. Jerzego Tabęckiego „Lasso” / Fot. T. Bór-Komorowski, Powstanie Warszawskie, Warszawa 2004

SEBASTIAN PAWLINA

Zdrajca

czy bandyta? Nieoczywisty przypadek por. Jerzego Tabęckiego „Lassa”

W sobotę 7 lutego 1931 r. w gmachu Włoskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Riunione Adriatica di Sicurtà przy ul. Moniuszki 10 otwarto prawdopodobnie najbardziej elegancki lokal ówczesnej Warszawy. Cafe Adria od samego początku przyciągała elitę. Do środka wchodziło się przez drzwi z kryształowego szkła. Idąc dalej, widziało się marmurowe ściany, salę dancingową, cocktail-bar, obrotowy parkiet czy ogród zimowy. Po wkroczeniu do Warszawy we wrześniu 1939 r. Niemcy zabronili Polakom wstępu do Adrii. Chcieli ją mieć tylko dla siebie.

Z czasem restauracja, tak jak i inne lokale „Nur für Deutsche”, stała się dla nich nie tylko centrum rozrywki, ale i jednym z tych miejsc, gdzie mogli czuć się bezpiecznie. Do czasu. Późnym wieczorem w sobotę 22 maja 1943 r. do środka weszło dwóch mężczyzn. Mieli jedno zadanie – zabić jak najwięcej Niemców. Głównym wykonawcą był Jan Kryst „Alan”, młody żołnierz Armii Krajowej, który kilka tygodni wcześniej zgłosił się do wykonania samobójczej akcji. Według legendy zrobił to po tym, jak lekarz przekazał mu, że jest nieuleczalnie chory i zostało mu zaledwie kilka miesięcy życia. Prawda, jak to zazwyczaj bywa, jest bardziej skomplikowana. W efekcie powody, dla których Kryst zdecydował się wziąć udział w tym zadaniu, pozostają niewyjaśnione. Drugim z mężczyzn był porucznik Jerzy Tabęcki „Lasso”. Jego rola ograniczała się do wprowadzenia „Alana” do środka i ewentualnego umożliwienia mu ucieczki.

To, co w ciągu następnych kilku minut się wydarzyło, znamy z relacji włoskiego dziennikarza Alceo Valciniego, który akurat tego wieczoru wybrał się do Adrii.

Znalazłem stół w pobliżu drzwi wejściowych i nie wiem, czy nie był to życzliwy uśmiech przeznaczenia. W czasie, gdy piruety tancerki przyciągały uwagę publiczności, w środku sali, gdzie dawano program, usłyszałem strzał – najpierw jeden, potem drugi, trzeci, czwarty, piąty... O parę kroków ode mnie po prawej stronie zrobił się zgiełk. Przewracano stoły, naczynia, stoły, butelki. Wycie i krzyki. Po kilku minutach grupa żołnierzy poruszonych do ostatnich granic utorowała sobie przejście wśród tłumu, krzycząc: „Zamach!” i trzymając rewolwery w ręku. Wysoki młodzieniec z twarzą zbroczoną krwią padł

na ziemię, gdy rzucono w niego kilkoma krzesłami. To polski zamachowiec, patriotą; zabił on w ciągu paru sekund dwóch oficerów i dwóch żołnierzy, strzelając zza marmurowej kolumny w kierunku centralnie ustawionego stołu, przy którym zazwyczaj zajmowały miejsca osobistości niemieckie. [...] Niemcy rzucili się na niego i zmasakrowali, bijąc flaszkami i stołkami. Przy mnie wyzionął ducha, w swym brązowym ubraniu, za obszernym jak na gruźlika. Zmarł, gdy agent gestapo usiłował wydobyć od niego jakąś tajemnicę (Valcini 1973, s. 282–283).

Kryst zginął, ale „Lasso” przeżył. Wiosną 1943 r. stał u szczytu swojej konspiracyjnej kariery. Rok później zastrzelono go na jednej z warszawskich ulic.

Początki

Jerzy Mieczysław Tabęcki urodził się w czwartek 14 grudnia 1916 r. w Ułanówce na Ukrainie. Według relacji Józefa R. Rybickiego, późniejszego dowódcy „Lassa”, jego ojciec był przyjacielem Antoniego Chruściela,

w czasie wojny szefa Okręgu Warszawskiego AK (Rybicki 22.05.1979, s. 2).

Kiedy

się zaczęła ta znajomość, czym się zajmował ojciec Jerzego – nie potrafimy stwierdzić z całą pewnością. Możemy jedynie przypuszczać, że miał związki z wojskiem. Idąc tym tropem, odnajdujemy majora Kazimierza Tabęckiego, syna Antoniego i Marii ze Zbijewskich, urodzonego 13 czerwca 1887 r. w Leśnikach.

W

Wojsku Polskim służył od 1918 r. Jako żołnierz I batalionu etapowego walczył

w

wojnie polsko-bolszewickiej. W następnych latach służył w 52. Pułku Piechoty i

w Oddziale V Sztabu Generalnego. W 1932 r. został prokuratorem przy Wojskowym Sądzie Okręgowym nr X, dwa lata później zaś kierownikiem Okręgowego Sądu Wojskowego nr VI we Lwowie. Studia prawnicze ukończył na tamtejszym

Uniwersytecie

im. Jana Kazimierza. Tym samym, gdzie prawo studiował także Antoni Chruściel. Ponownie

się spotkali krótko przed wojną. Gdy Chruściel w latach 1937–1938 pełnił funkcję zastępcy dowódcy 40. Pułku Piechoty „Dzieci Lwowskich”, Kazimierz Tabęcki kierował OSW nr VI we Lwowie. Zginął w 1940 r. w Charkowie, zastrzelony

przez Rosjan. Niestety niemal nic nie wiemy o matce Jerzego. Prawdopodobnie miała niemieckie korzenie.

O przedwojennym życiu Tabęckich wiemy więc

dramatycznie mało. Nie potrafimy wskazać momentu, kiedy przenieśli się do Warszawy, czym się zajmowali, jakie szkoły skończył Jerzy. Na pierwsze pewne elementy układanki natrafimy w 1939 r., kiedy był podporucznikiem służby stałej

w Marynarce Wojennej (Lewandowski 9.09.1974, s. 22). Jednak jego wrześniowy szlak bojowy nie ma nic wspólnego z morzem. Wiemy, że znalazł się w Grupie płk.

Mariana Ocetkiewicza. Brała ona udział m.in. w drugiej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim.

Poza ogólnym szlakiem bojowym nie potrafimy powiedzieć nic więcej o tym etapie życia młodego Tabęckiego. Nie wiemy, kiedy się związał z

Grupą płk. Ocetkiewicza, jak długo się w niej znajdował, czy został ranny, w końcu – jakie były jego późniejsze losy. Czy od razu trafił do Warszawy, a może

dostał się do niewoli? Jeśli tak, to czy uciekł z niej, czy wykorzystał pochodzenie swoje i swojej matki? Jeśli zaś nie udał się do Warszawy, to gdzie?

Podobnych pytań moglibyśmy postawić jeszcze kilka, kilkanaście. Pewne jest tylko to, że dopiero od maja 1940 r. możemy w miarę dokładnie śledzić jego losy.

Wejście do podziemia

Każda legenda ma swój początek. Nie inaczej jest z takimi symbolami polskiej konspiracji zbrojnej, jak bataliony „Zośka” i „Parasol”, których korzeni należałoby upatrywać w ostatnich miesiącach 1939 r.,

kiedy w Oddziale III Sztabu Komendy Głównej Służby Zwycięstwu Polski utworzono

Referat „C”. Jego „zadaniem była organizacja i kierowanie walką czynną” (Strzembosz

1983, s. 21). Na czele referatu stanął mjr Franciszek Niepokólczycki „Franek”, lepiej

znany jako „Teodor”. Zebrał wokół siebie grupę oficerów, wszyscy byli saperami,

i razem zaczęli tworzyć zręby warszawskiej, a zarazem krajowej dywersji. W gronie tym znaleźli się m.in. kpt. Jan W. Kiwerski „Oliwa”, późniejszy dowódca

Oddziału Dyspozycyjnego Związku Odwetu „Motor” oraz 27. WDP AK, kpt. Jerzy Lewiński „Jurek”, od przełomu 1943 r. już jako „Chuchro” pełniący funkcję szefa

Kedywu Okręgu Warszawskiego AK, por. Zbigniew Lewandowski „Zbyszek”, zastępca Lewińskiego w Kedywie OW, czy też por. Jan K. Andrzejewski „Jan”, w trakcie

Powstania Warszawskiego dowodzący brygadą „Broda 53”.

Ich wysiłki zaowocowały sprawnym formowaniem pierwszych oddziałów bojowych podziemnej Warszawy, choć te naprawdę duże jednostki, jak „Motor” czy „Osa”, narodziły się dopiero w połowie 1942 r. Jerzy

Tabęcki nigdy jednak nie działał w tak dużej grupie. Wszystkie informacje o jego organizacyjnej pracy, jakimi dysponujemy, wskazują na to, że od początku swojej działalności był związany z niedużymi zespołami. Tak było z jego oddziałem w Kedywie OW, liczącym około 20 ludzi. Józef R. Rybicki nazywał go grupą „niemiecką” (Rybicki 2003, s. 131), w dokumentach Kedywu OW pojawia się jako grupa „Lasso” (Kedyw 2009, s. 39, 49), według Henryka Witkowskiego (Witkowski 1984, s. 112) i Tomasza Strzembosza (Strzembosz 1983, s. 263) była to grupa ds.

likwidacji agentów Gestapo i Abwehry, albo referat dywersji osobowej, jak określił ją w swoich zapiskach Zbigniew Lewandowski (Lewandowski 9.09.1974, s. 22).

Sam Jerzy Lewiński w sierpniu 1943 r. mówił o „Lassie” jako o referencie dywersji osobowej (Oddziały 2010, s. 36).

Daty powstania grupy „Lassa” nie znamy. Na pewno istniała jesienią 1942 r., kiedy Antoni Chruściel przekazał ją pod rozkazy Jerzego Lewińskiego, konstruującego właśnie struktury Kedywu OW AK. Nie do końca jasna

pozostaje wcześniejsza rola Tabęckiego i jego ludzi. Według Tomasza Strzembosza

była ona tożsama z tą, jaką odgrywał w Kedywie. Zbigniew Lewandowski z kolei stwierdzał, że „Lasso” znajdował się w grupie osłonowej „Montera”.

Pewne jest, że dużą część swojej konspiracyjnej działalności Tabęcki związał z przyjacielem ojca. Czy było tak od samego początku, trudno stwierdzić. W podziemiu znalazł się w maju 1940 r. Miesiąc później w szeregi ZWZ wstąpił Chruściel. Kontakt z organizacją musiał jednak nawiązać

już wcześniej. Podjęcie decyzji, przygotowanie stanowiska, wprowadzenie w rolę z

pewnością zajęło trochę czasu. W związku z tym możemy podejrzewać, że Chruściel

przygotowując się do pracy w ZWZ, mógł zaproponować to również Tabęckiemu. To oczywiście jedynie spekulacje. „Lasso” miał szansę na dziesiątki innych sposobów przystąpić do podziemia. Wystarczyło spotkać kolegę z czasów szkolnych

albo znajomego z wojska, już działającego „dla sprawy”, i za jego namową wstąpić do organizacji. Zastanawiać może moment, kiedy Tabęcki to zrobił, czy

może – dlaczego wcześniej tego nie zrobił. Może był ranny we wrześniu 1939 r., co uniemożliwiło mu podjęcie takiej decyzji? A może wolał poczekać na rozwój wypadków? Albo też, co w początkowym okresie działalności organizacyjnej wielu ludzi wydaje się dość częstym zjawiskiem – zaczął od zupełnie innej organizacji, a z jakichś względów zniechęcony do niej, postanowił szukać dalej?

Po raz kolejny dostrzegamy, jak gigantycznych rozmiarów są białe plamy w życiorysie Jerzego Tabęckiego.

W maju 1979 r. Rybicki przyznał Strzemboszewi, że „Lasso” cieszył się pełnym zaufaniem Chruściela. Wiązało się to z jednej strony z przyjacielskimi stosunkami łączącymi starego Tabęckiego i „Montera”, z drugiej zaś z tym, że młody Tabęcki miał wyrobić późniejszemu komendantowi Okręgu Warszawskiego AK fałszywą legitymację (Rybicki 22.05.1979, s. 2). Według Rybickiego chodziło o kenkartę (Rybicki, Kummant, Witkowski 05.1973, s. 1).

Ta jedna informacja z relacji Rybickiego pozwala nam zgadywać, że „Lasso” i „Monter” musieli wcześniej rozpocząć współpracę. Najpewniej dotyczyła ona okresu przedorganizacyjnego późniejszego dowódcy Powstania Warszawskiego. Chruściel po przegranej kampanii we wrześniu 1939 r., wbrew zarządzeniom władz okupacyjnych, nie zarejestrował się jako oficer Wojska Polskiego, w związku z czym musiał się ukrywać. Prawdopodobnie właśnie wtedy Tabęcki przyszedł mu z pomocą. Po czerwcu 1940 r., kiedy „Monter” zajmował już stanowisko szefa Wydziału III Komendy OW ZWZ, miał do dyspozycji aparat legalizacyjny organizacji i trudno sobie wyobrazić, by musiał korzystać z usług osoby prywatnej, choćby najbardziej zaufanej.

O szczególnie pozytywnym stosunku Chruściela do „Lassa” przekonują nas znane nam relacje. Wspominałem już o tym, co mówił Rybicki. Wersję tę potwierdzał również Lewandowski. Nie był jednak dowódca warszawskich struktur ZWZ/AK jedynym, którego sympatię zdołał zaskarbić sobie Tabęcki. Równie dobre zdanie, jeśli nie lepsze, miał o nim twórca i szef Kedywu OW AK Jerzy Lewiński.

Urodzony 14 czerwca 1908 r. we wsi Mierzyce w powiecie wieluńskim, syn Antoniego i Haliny z domu Dybek, już w 1926 r. związał swoją przyszłość z wojskiem. Kolejno kończone kursy, sprawowane funkcje – był m.in. kierownikiem WF w Centrum Wyszkożenia Saperów – a także udział w obronie

Warszawy we wrześniu 1939 r. – dostał się do niewoli, z której uciekł – zaprowadziły go do wspomnianego już Referatu „C” w Oddziale III Sztabu Komendy Głównej

SZP. Używając konspiracyjnego nazwiska Jerzy Reda w sierpniu 1940 r. objął stanowisko dowódcy batalionu saperów m.st. Warszawy, a w czerwcu 1942 r. został szefem Związku Odwetu OW AK.

To jego dziełem była m.in. akcja „Wieniec”, przeprowadzona nocą 7/8 października 1942 r. Stanowiła ona jeden z ostatnich akordów w historii warszawskiego ZO. W tym samym bowiem czasie Lewiński konstruował już sztab Kedywu. Jedną z osób, które miały się w nim znaleźć, prawdopodobnie z polecenia samego „Montera” (Lewandowski 9.09.1974, s. 22), był „Lasso”.

Bohater

Przyglądając się opisom Tabęckiego, można odnieść wrażenie, że był stereotypowym konspiratorem, pierwowzorem głównego bohatera sensacyjnej opowieści o podziemiu. Przystojny, odważny, trochę bezczelny, odrobinę beztroski, otoczony tajemnicą i pięknymi kobietami, a przy tym bogaty.

Zbigniew Lewandowski, który pozostawił nam najdokładniejszy opis Tabęckiego, tym cenniejszy, że nie dysponujemy żadną jego fotografią, wspominał, że „był [on] blondynem bardzo przystojnym, ubierał się w tym czasie bardzo elegancko” (tamże). Co więcej, „był bezpośredni i dużo lubił mówić o sobie”. Ludzie darzyli go sympatią, wystarczy wspomnieć „Montera” oraz „Chuchrę”. „Szyna” pisał również, że widywał „go czasem na ulicy. Prawie zawsze szedł w towarzystwie przystojnej i dobrze ubranej kobiety”, prawdopodobnie żony.

Mieszkali w kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 81. Na jej zdjęciach wykonanych przed 1939 r. widzimy Warszawę w tym najpiękniejszym wydaniu. Jest czysto, schludnie i elegancko. Rosną drzewa dające przyjemny cień w słoneczne dni, po chodniku spacerują dobrze ubrani ludzie, na ulicy widać

samochody. Dzisiaj zachowała się jedynie część budynku. Najpierw spłonął w czasie Powstania Warszawskiego, krótko po wojnie rozebrano do poziomu parteru fasadę, a w połowie lat pięćdziesiątych w trakcie poszerzania ul. Marszałkowskiej zburzono i tę jej pozostałość. Zachowała się dalsza część kamienicy. Z zewnątrz smutna, w środku ze śladami dawnego luksusu, który przez kilka lat otaczał Tabęckiego.

„Lasso” nie należał do osób mających problemy z gotówką, z czego w podziemiu zdawano sobie sprawę. Z dokumentów organizacyjnych dowiadujemy się, że posiadał zamożną rodzinę. Sam też podczas wojny dobrze zarabiał. W Kedywie z racji swego stanowiska oraz zakresu obowiązków mógł liczyć na 1700 zł samej podstawy, plus 600 zł dodatku rodzinnego (Kedyw 2006, s. 152). W okresie jesienno-zimowym dodatkowo dostawał 1200 zł specjalnego dodatku węglowego (Kedyw 2009, s. 261). Łącznie otrzymywał więc nawet 3500 zł. Przy ówczesnych zarobkach była to suma niebagatelna (pod koniec 1941 r. przeciętna pensja nauczycielska wynosiła 300 zł, a w grudniu 1942 r. urzędnik mógł liczyć maksymalnie na 800 zł miesięcznie – jeśli był mężczyzną i miał co najmniej 40 lat). Na tym jednak nie kończył się jego dochód. W miejscu oficjalnego zatrudnienia zarabiał 700 zł. Według Lewandowskiego była to bliżej nieokreślona „wyższa instytucja niemieckiej administracji” (Lewandowski 9.09.1974, s. 22), co pasowałoby do rzekomego posiadania przez niego papierów reichsdeutscha/baltendeutscha. Dzięki tej pracy dysponował też przepustką umożliwiającą mu poruszanie się po ulicach miasta nocą, a także korzystanie z lokali „Nur für Deutsche”, czym lubił się chwalić.

Cały ten zestaw, tj. znajomość języka, dobra sytuacja finansowa, odpowiednie kontakty oraz papiery, sprawiał, że Tabęcki był wręcz idealnym kandydatem na bohatera podziemia, co w pierwszych miesiącach działalności Kedywu OW zdawało się regularnie znajdować potwierdzenie.

Już na początku 1943 r., w okresie kiedy Kedyw OW jeszcze nie zdążył na dobre rozpocząć swojej działalności, Zbigniew Lewandowski, zastępca „Chuchry”, pełniący jednocześnie funkcję szefa Biura Badań Technicznych przy KG AK, wpadł na pomysł przesłania kilku wybranym wysokim niemieckim urzędnikom małych bomb, wystarczających do tego, aby definitywnie zakończyć ich pracę. Razem ze współpracownikami przygotował paczki

z bombami.

Żeby jednak trafiły bezpośrednio do adresatów, musiały mieć odpowiednie urzędowe naklejki adresowe. „Lasso”, wykorzystując swoje doświadczenia, zdobył odpowiednią ich liczbę (Lewandowski 9.09.1974, s. 16). Wszystkie bomby, już zapakowane, odpowiednio oznaczył w mieszkaniu przy ul. Zielnej, dokąd w zwyczajnej torbie, po wcześniejszej kontroli „Szyny”, dostarczyła je Antonina Mijał „Tosia” z BBT. Kiedy wszystko było gotowe, razem poszli na pobliski pl. Napoleona, gdzie w siedzibie Deutsche Post Osten nadali przesyłki do urzędników w Warszawie i Krakowie. Choć bomby trafiły pod wskazane adresy, to żaden z namierzonych oficjeli nie został nawet ranny. Po tym jak trzy bomby eksplodowały w sekretariatach, zabijając kilku pracujących tam Niemców, Gestapo, zaalarmowane tymi zajściami, namierzyło pozostałe paczki.

Kolejna istotna akcja z udziałem Tabęckiego jest związana z Powstaniem w Getcie Warszawskim. Już 19 kwietnia, w dniu wybuchu walk, oddział Kedywu OW próbował wysadzić mur getta w rejonie ul. Świętojerskiej, Bonifraterskiej i Muranowskiej. Akcja zakończyła się niepowodzeniem. „Monter” od razu wydał Lewińskiemu polecenie podjęcia kolejnej próby wybicia dziury w murze. Rankiem 22 kwietnia, w Wielki Czwartek, w lokalu przy al. 3 Maja zebrał się sztab Kedywu OW. Po krótkiej naradzie zdecydowano się uderzyć na odcinku wzdłuż ul. Okopowej, pomiędzy ulicami Dzielną i Pawią. Lewandowski wspominał: „Zniszczona miała być osadzona w murze, zamknięta już na stałe, brama do getta. Stąd uciekinierzy mogli się ewakuować w kierunku Cmentarza Żydowskiego, następnie Powązek i dalej za miasto do Puszczy Kampinoskiej” (Lewandowski 1985, s. 77). Szybko jednak się okazało, że oddział wyznaczony do zadania nie będzie w stanie go wykonać. Jak zwrócił mi uwagę Dariusz Libionka, po nieudanym przebiegu akcji 19 kwietnia ludzie bali się udziału w tej akcji.

Lewiński nie miał wyboru, musiał jeszcze przed godziną policyjną w trybie awaryjnym zmontować nowy zespół. Nie mając dużego wyboru, postanowił, że pójdzie razem z „Szyną”, a towarzyszyć im będzie Tabęcki oraz sześciu ludzi z Oddziału Dywersji Bojowej „3” ze Śródmieścia, z „Ryżym” (N.N.) i Cezarym Szemleyem-Ketlingiem „Cezarym” na czele. Wybór „Lassa” jest w pełni zrozumiały. Zastanawia zaś udział „Ryżego” i „Cezarego”, znanego również jako „Arpad”. Ten ostatni sprzedawał do getta broń służbową. I choć jego

przełożeni

wtedy jeszcze nie wiedzieli o tym, prawdopodobnie orientowali się, że zna ten teren i ma po drugiej stronie muru swoje kontakty.

23 kwietnia, w Wielki Piątek, o godzinie 11 uczestnicy akcji spotkali się w ruinach przy popularnym Kercelaku.

Plan akcji przewidywał, że por. „Lasso” zlikwiduje posterunek na Okopowej, między Dzielną i Pawią. „Chuchro” z dwoma żołnierzami z ODB-Śródmieście, uzbrojonymi w steny miał ubezpieczać ul. Okopową w kierunku Cmentarza Żydowskiego oraz Pawią wzdłuż murów getta. Po strzale „Lasso” miałem, w towarzystwie минера i uzbrojonego w stena strzelca z ODB, ps. „Sęp” (NN), natrzeć na bramę od ul. Zegarmistrzowskiej, przez istniejącą od kilku miesięcy wyrwę w murach tzw. dużego getta (tamże).

Po zajęciu stanowisk „Lasso” zgodnie z założeniami ruszył w stronę posterunku, gdzie miał napotkać zaledwie jednego strażnika. Podszedł

akurat w momencie, kiedy dokonywano zmiany warty. Nie zastanawiając się, wyciągnął pistolet i zastrzelił obu Niemców. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie. Zaczęli się pojawiać kolejni strażnicy. Do akcji ruszyli „Szyna”

i „Chuchro” z resztą ludzi. Wtedy nadjechała „buda” z niemieckimi żandarmami. Uczestnicy akcji nie mogli już myśleć o wykonaniu zadania – musieli się ratować. Ruszyli biegiem wzdłuż ul. Okopowej w stronę Kercelaka. „Okopową cofał

się również »Lasso«, biegnąc tuż przede mną – pisał Lewandowski. – Wybiegając z

Zegarmistrzowskiej w Okopową, zobaczyłem, jak z bram domów po jej wschodniej stronie wybiegają policjanci granatowi, próbując go zatrzymać. W pierwszego, który zabiegł mu drogę, »Lasso« strzelił z pistoletu. Policjant upadł w tył, na

plecy. To powstrzymało nieco innych” (tamże, s. 78–79). Oddział wycofał się bez strat.

Więcej szczegółów dotyczących postawy „Lasso” w akcji znajdujemy w relacji spisanej przez „Szynę” w 1974 r.:

Wykazał wtedy wybitną odwagę, ogromny refleks i wielką zręczność w posługiwaniu się pistoletem. Zabił wtedy z najbliższej odległości dwóch Niemców i „granatowego”. Ten ostatni zastąpił mu drogę z podniesionym pistoletem w ręku w chwili, gdy wycofywał się biegiem po załamaniu się

zasadniczej akcji. „Lasso” trzymał w tym momencie prawą, uzbrojoną, rękę w kieszeni płaszcza. Zastrzelił „granatowego” w biegu, poprzez kieszeń własnego płaszcza, nie wyciągając z niej uzbrojonej ręki. Biegłem tuż za nim i mam tę scenę w swoich oczach jeszcze dzisiaj. Prawdopodobnie tym strzałem i mnie uratował życie.

Lewandowski nie był jedynym, który zawdzięczał tamtego dnia życie Tabęckiemu. Drugą osobą był Lewiński. Józef R. Rybicki pisał po wojnie, że to właśnie „w tym tkwiła słabość »Chuchry« do »Lasso«” (Rybicki 2003, s. 134). Należy zauważyć, że opis akcji jest typowy dla powojennych relacji żołnierzy dywersji. Dużo tu strzelania, ofiar po drugiej stronie – a żadnych po własnej. I jest odpowiednia dramaturgia. Można mieć jednak wątpliwości, czy w tak trudnej sytuacji oddział Lewińskiego wyszedłby z tego bez szwanku.

Przez pierwsze trzy miesiące działalności Kedywu OW Jerzy Tabęcki mógł być uznawany przez zwierzchników za człowieka, bez którego trudno wyobrazić sobie dalszą pracę. Odważny, z dużymi możliwościami, jakie zapewniały mu praca, posiadane papiery i znakomita znajomość języka, zdobył sobie zaufanie otoczenia. I wtedy pojawiła się pierwsza rysa na jego wizerunku.

Według raportów podziemia Hugo Dietz, kierownik jednego z wydziałów Arbeitsamtu w Warszawie, odznaczał się zajadłą nienawiścią wobec Polaków. Brał udział w likwidacji getta, organizował łapanki. Wydanie rozkazu jego likwidacji było oczywiste. Przeprowadzenie akcji według Zbigniewa Lewandowskiego zlecono ODB ze Śródmieścia, rozpoznanie zaś – Tabęckiemu. Po latach „Szyna” wspominał: „13 kwietnia 1943 r. w godzinach popołudniowych »Lasso« złożył nam w naszym lokalu konspiracyjnym przy ul. Zielnej meldunek: zastrzeliłem dziś Dietza na ul. Rysiej. Meldunek ten natychmiast przekazano »Monterowi«” (Lewandowski 9.09.1974, s. 23).

Po kilku dniach Chruściel wezwał „Chuchrę” i „Szynę” do „lokalu konspiracyjnego przy ul. Filtrowej i zakomunikował” im, że w sprawie likwidacji Dietza otrzymał dwa meldunki. Jeden od Tabęckiego i drugi, zgodnie z którym akcję przeprowadził pięcioosobowy patrol Władysława Welweta „Misia” z oddziału „Kosy” Kedywu KG AK. Doszło do konfrontacji, w której udział wzięli on

sam, Lewiński, Lewandowski, Welwet i Tabęcki. W trakcie spotkania „Miś” i „Lasso” przedstawili swoje wersje wydarzeń. „Lasso” mówił, że w czasie sekcji zwłok znaleziono w ciele sześć kul. Informację tę miał jakoby uzyskać od Niemców, z którymi pracował w urzędzie.

Po wysłuchaniu relacji Chruściel uznał oba meldunki za prawdziwe. W jego ocenie, jak wspominał Lewandowski, jeden Dietza postrzelił, a drugi – dobił. Obaj otrzymali Krzyże Walecznych. „Szyna” jednak miał wątpliwości co do opowieści Tabęckiego. Po wizji lokalnej uznał, że Tabęcki stał zbyt daleko od Dietza, aby mógł go zabić z broni krótkiej. „Z takiej odległości wyborowy strzelec mógł [go] tylko postrzelić”. A przecież „Lasso” twierdził, że oddał aż sześć celnych strzałów. „Szyna” podzielił się swoimi wątpliwościami m.in. z Lewińskim. Kilka dni później Tabęcki obydwu uratował życie pod murami getta. Po tym Lewandowski już nie drążył tematu likwidacji Dietza.

W całej sprawie zastanawia, dlaczego Chruściel zdecydował się przyznać rację obu rzekomym wykonawcom wyroku. Wyjaśnienia są dwa. Pierwsze – nie mając podstaw do podważenia którejkolwiek z wersji, nie chciał ryzykować napięć. I drugie – „Monter” być może miał podejrzenia co do Tabęckiego, ale prywatne sympatie, znajomość z jego ojcem, wdzięczność za pomoc przy zdobyciu dokumentów przeważyły. W przypadku „Lassa” możemy jednak wskazać jeszcze jedną historię, również opisaną przez Zbigniewa Lewandowskiego, w której postawa Tabęckiego nie jest całkowicie jasna:

W jednym wypadku nie wykonał wyroku likwidacyjnego, zleconego przez odpowiednie władze AK, na pewnej parze konfidentów, mieszkającej w pobliżu Placu Zbawiciela. Wyjaśniał, że nie był w stanie tego zrobić, bowiem przed odczytaniem i wykonaniem wyroku zdążyli go przekonać (!), że są zupełnie niewinni. Konsekwencji z tego powodu w stosunku do „Lasso” nie wyciągnięto (tamże).

Nie wiemy, jaki był dokładny przebieg zdarzenia ani kiedy dokładnie nastąpiło; na pewno stało się to przed wrześniem 1943 r., kiedy to Lewandowski odszedł z pracy w Kedywie OW do Biura Badań Technicznych przy KG AK, a więc jeszcze w momencie, kiedy Tabęcki cieszył się dużym zaufaniem góry, z Lewińskim i Chruścielem na czele. Przez całą wiosnę i dużą część lata jego pozycja zdawała się niezagrożona. Ale pod koniec sierpnia sytuacja znacząco się

zmieniła.

Akcja na Czackiego

Latem 1943 r. warszawski Kedyw szykował się do jednej z największych akcji w swojej historii – uderzenia na niemiecki Arbeitsamt przy ul. Czackiego 14 w Warszawie. Jej celem było zniszczenie kopii wydawanych przez urząd kart pracy. Ich istnienie sprawiało, że każdy posiadacz fałszywej arbeitskarty mógł łatwo zostać zdemaskowany. A ponieważ w podziemiu często korzystano z fałszywek, kopie oryginałów stwarzały zagrożenie dla całej organizacji.

Pierwszą próbę dostania się do budynku przy ul. Czackiego podjęto w piątek 13 sierpnia, jednak ze względu na wizytę delegacji z Berlina zespół wyznaczony do zadania nie zdołał dostać się do środka. W związku z tym akcję przełożono na czwartek 26 sierpnia, zmieniając także jej plan:

Po ponownym przeprowadzeniu rozpoznania i obserwacji stwierdzono, że w obecnych warunkach najlepszą godziną do wykonania akcji będzie godzina ranna, tj. w tym czasie, kiedy dozorca otwiera bramę. Rozpoczęcie akcji ustalono na godzinę 6.20. Sytuacja na ulicy Czackiego w tym czasie: ruch uliczny znikomy, 2 policjantów granatowych pilnuje narożnego banku KK0, dozorca urzędu otwiera bramę, na wartowni Sonderdienstu czynności powinny i przygotowania do objęcia służby (Oddział 2007, s. 39).

Aby nie zwracać na siebie nadmiernej uwagi, postanowiono, że uczestnicy nie będą podjeżdżali samochodami, lecz dotrą na miejsce pieszo, po czym część z nich utworzy przed wejściem do Arbeitsamtu kolejkę, w której znajdą się również kobiety. Reszta będzie rozstawiona po okolicy, zabezpieczając kierunki, z których mogłyby nadejść ewentualnie dodatkowe siły wroga. Po otwarciu bramy do siedziby Arbeitsamtu miała szybko wkroczyć ekipa uderzeniowa, mająca sterroryzować ochronę, a następnie przystąpić do niszczenia wskazanych dokumentów. Do tego celu przeznaczono 90 kg szedytu w paczkach każda po 15 kg, 20 litrów smarów, 20 litrów benzyny, 12 butelek zapalających, cztery termity z zapalnikami czasowymi, trzy świece gazowe i jedną minę z opóźnieniem dziesięciominutowym. To, co najważniejsze, czyli szedyt, miał być dowieziony w ostatniej chwili samochodem, którym na

miejsce akcji miał przyjechać sam Jerzy Tabęcki.

Krótko po 6.00 zaczęli się ustawiać na swoich pozycjach. W złożonym 28 sierpnia sprawozdaniu z przebiegu wydarzeń Zbigniew Czajkowski „Olek” pisał:

Dn. 26 VIII 43 o godz. 6.15 dołączyłem do kolejki, utworzonej przy Dyr. Pol. Niem. na ul. Czackiego. Przy sąsiedniej bramie w kierunku Traugutta stało osobowe zielone auto policyjne. W kilka minut po moim przybyciu z bramy domu, przed którym stało auto, 4 gest[apowców] (3 umundurowanych, 1 w ubraniu cywilnym), wszyscy z pist[oletami] automat[ycznymi], wyprowadziło 2 kobiety. Po wsadzeniu ich do auta 2 gest[apowców] pojechało z nimi, a 2 pozostało przy bramie. W chwilę po ich odjeździe nadjechał nasz samochód ciężarowy z materiałem, zatrzymał się koło nas, wysiadł z niego szofer i spytał, od której są czynne biura. Następnie odjechał w kierunku Sto-Krzyskiej [Świętokrzyskiej] i wjechał w ślepą uliczkę na wprost B[an]ku Francusko-Polskiego. Około 6.30 przez ul. Czackiego w kierunku do Traugutta przejechał drugi mały samochód ciężarowy, który na znak dany ręką przez Leona nie zatrzymał się, lecz wjechał w ul. Traugutta. Ponieważ obaj gest[apowcy] stali ciągle przy bramie, Leon zdecydował, aby podeszło do nich 4 z nas i unieszkodliwiło ich. W momencie kiedy mieliśmy to wykonać, z ul. Sto-Krzyskiej [Świętokrzyskiej] wyjechało wspomniane wyżej auto pol[icyjne] i zabrało ich, odjeżdżając w kierunku Traugutta i Krak[owskiego] Przedm[ieścia]. Oczekiwaliśmy teraz na przybycie auta, które odjechało, nie zatrzymując się koło nas. W 3–4 min po odjeździe auta pol[icyjnego] usłyszałem u wylotu Czackiego i Sto-Krzyskiej [Świętokrzyskiej] kilka pojedynczych strzałów i zauważyłem auto pol[icyjne] stojące tam oraz człowieka leżącego na ziemi. Na rozkaz Leona „uciekać” pobiegliśmy z pistoletami w rękę do Traugutta, a następnie część w kierunku Krak[owskiego] Przedm[ieścia], część zaś do Mazowieckiej (tamże, s. 43–44).

Akcja zakończyła się porażką. Jeszcze zanim na dobre się zaczęła, stojący na ulicy kedywiacy zostali zaatakowani przez gestapowców.

W trakcie krótkiej strzelaniny zginęło dwóch żołnierzy, Jerzy Trószyński „Onufry” oraz Zbigniew Art „Roman”. Ciała obu Niemcy przetransportowali do prosektorium przy ul. Oczuki, skąd zostały wykradzione przez kolegów i pochowane na Cmentarzu Bródnowskim pod fałszywymi nazwiskami Zbigniew Kraft i Henryk Montwił.

Jednocześnie z zabiegami o godne pożegnanie obu poległych rozpoczęto jednocześnie śledztwo mające ustalić przebieg wypadków na ul. Czackiego. W ciągu kilku dni zebrano co najmniej piętnaście raportów. Po dwa złożyli dowódca akcji Leon Tarajkowicz „Gryf”, a także Stanisław Sosabowski

„Stasinek” i dwaj jego żołnierze z grupy żoliborskiej, Zbigniew Siennicki „Bor” i Leon Zubrzycki „Lech”. Po jednym przygotowali: „Pyz” (N.N.), Włodzimierz Denkowski „Kostek”, „Zygmunt” (N.N.), Antoni Wojciechowski „Antek II”, Zdzisław Czajkowski oraz „wypożyczeni” z batalionu „Zośka” Edward Kuźmiński „Heniek” i Wiesław Krajewski „Sem”.

Lektura tych zapisków pozwala na wskazanie kilku elementów wspólnych. Pierwszy – wszyscy na swoich stanowiskach pojawili się krótko po 6.00. Sosabowski, Czajkowski i Siennicki zgodnie wymieniają 6.15 jako moment, kiedy zajęli pozycje. Denkowski pojawił się jeszcze wcześniej. Po kilku minutach w okolicy znalazło się jeszcze więcej osób, wśród nich m.in. Zubrzycki oraz Tarajkowicz.

Punkt drugi – Niemcy wychodzący z domu pod numerem 16, wsiadający z dwiema kobietami i mężczyzną do samochodu i odjeżdżający – nie licząc dwóch, którzy zostali na ulicy. Tuż obok kolejki, która ustawiła się przed Arbeitsamtem. „Gryf” w swoim raporcie podawał: „godz. 6.25 Nadjeżdża samochód polic[ujny] od ul. Świętokrz[yskiej] i zatrzymuje się pod [nr.] 16. Dwóch gestap[owców] wsiada do samochodu. W tym samym czasie nadjeżdża nasz samochód z gr[upy] terroryzującej, ale widząc nowo wytworzoną sytuację, niepomyślną do rozpoczęcia akcji, przejeżdża dalej i skręca w Traugutta. Po chwili gestapowcy odjeżdżają w kier[unku] Traug[utta] do Mazowieckiej” (tamże, s. 61).

Samochód z grupy terroryzującej to następny fragment układanki. Jechał nim najprawdopodobniej „Lasso”. Opis, jak krąży powoli po ulicy, pojawia się w czterech relacjach. Według nich miało w nim się znajdować trzech ludzi. Zdaniem „Pyza” przejechał ul. Czackiego trzy razy: „Zorientowałem się, że to auto patroluje czworobok zamknięty ulicami: Świętokrzyską, Czackiego, Traugutta, Mazowiecką” (tamże, s. 53). W końcu pojawił się za nim opel-kapitan. Po wyminięciu go zatrzymał się. Chwilę później padły pierwsze strzały.

Tutaj dochodzimy do punktu czwartego – oczekiwanie na początek akcji. Pierwsi jej uczestnicy na swoich pozycjach pojawili się o 6.10–6.15. Do starcia doszło około 6.30, 15–20 minut później. Załedwie pięć minut od

momentu, kiedy opel-admirał zabrał dwóch gestapowców sprzed wejścia do domu nr 16. Ci przez blisko dziesięć minut obserwowali, jak na niedużej ulicy gromadzi się tłum młodych ludzi. W tej sytuacji mogło dojść do zdekonspirowania akcji. Potwierdzają to słowa Siennickiego: „Onufry był zaniepokojony i powiedział do mnie, że akcja powinna być już rozpoczęta” (tamże, s. 47).

O tym, że zwracali na siebie uwagę, pisał też Lewandowski, który choć był nieobecny na miejscu, zapoznał się z relacjami uczestników wydarzeń: „Zachowanie się »Onufrego« z grupy »Andrzeja« było wyjątkowo prowokacyjne i zwracające powszechną uwagę na pustej o tej wczesnej godzinie ulicy Czackiego” (Lewandowski 8.09.1974, s. 20). Jednak w powojennych opisach wydarzeń winny dramatu staje się jeden człowiek – „Lasso”.

Tego samego dnia Lewandowski oraz Lewiński w bezpośredniej rozmowie zarzucili mu tchórzostwo. W odpowiedzi pokazał im świeżą ranę, mówiąc, że został ranny pół godziny po akcji, kiedy wrócił na miejsce akcji i zaczął strzelać do Niemców. Problem w tym, że do żadnej wymiany ognia nie doszło, co potwierdzają zeznania Zubrzyckiego i Tarajkowicza. Ale „Lasso” rzeczywiście był ranny. „Chuchro” i „Szyna” wysłali go do szpitala, gdzie miał zostać opatrzony przez zaufanego lekarza. W tym miejscu relacje, jakimi dysponujemy, rozmiągają się. Sosabowski w latach siedemdziesiątych w liście do Rybickiego pisał, że to on zajmował się Tabęckim. Przyjrzyjmy się jego wersji:

Przyjechał dorożką w towarzystwie drugiego kolegi. Portier wywołał mnie do holu na parterze. Dowiedziałem się, że Lasso jest ranny. Brali udział w akcji ulicznej. Akcja, której szczegółów nie znam, nie udała się, oddział poszedł w rozsypkę. Na szczęście poza Lassem, który dołączył na melinę, osobno [?] nie było żadnych ofiar (Sosabowski 11.12.1974, s. 1).

Fragment zastanawiający – Sosabowski, który brał udział w akcji na ulicy Czackiego i doskonale wiedział, że „Lasso” również tam był, nagle opisuje całość tak, jakby nie miał żadnej wiedzy na temat okoliczności wydarzeń. Ale czytamy dalej:

Po rozmowie z mym szefem dr. Piotrowskim zabrałem L. na górę, na salę

opatrunkową. Czuł się dobrze, szedł bez pomocy, a poza tym, że był trochę blady, nie było żadnych innych objawów. Powiedział nam, że został ranny w bok z pistoletu maszynowego, [jednak] ani na marynarce, ani na koszuli nie było śladu krwi ani uszkodzenia przez pocisk. Tłumaczył się, że na melinie zmienił koszulę i marynarkę, co mi się wydawało możliwe. Sama rana to dość ciekawy wypadek. Rana styczna z wlotem i wylotem po lewej stronie pomiędzy kością biodrową a ostatnim żebrzem. Krwawienia nie było żadnego. Kula przeszła tylko przez skórę i tkankę tłuszczową podskórną. Co więcej z przodu, gdzie był wlot (bo otwór był mniejszy), naokoło wlotu była czarna obwódka, czarny pierścień z niespalonego prochu. Tego rodzaju obwódka jest typowa, gdy lufa broni palnej jest przyłożona bardzo blisko gołej skóry. Gdybym nie znał Lasso, to bym wtedy powiedział, że dwoma palcami lewej ręki odciągnął skórę, przyłożył prawą ręką pistolet do fałdu i sam się przestrzelił. Gdy się później zastanawiałem nad tą sprawą i dyskutowałem ją z moim starszym kolegą dr. Piotrowskim, którego znałem jeszcze ze szpitala Ujazdowskiego, doszliśmy do wniosku, że była to jedyna możliwość. Nawet sam kanał kuli nie szedł prosto, tylko krzywą. To znaczy gdyby przeprowadzić linię prostą od wlotu do wylotu, to pocisk by przeszedł przez jamę brzuszną i jelito grube (tamże, s. 1–2).

W porównaniu z początkiem relacji, gdy „Stasinek” wyraźnie miał problem z przypomnieniem sobie przebiegu wypadków, druga część opisu jest zadziwiająco dokładna – i zapewne zgodna z prawdą. W akcie oskarżenia Tabęckiego, przedłożonym Wojskowemu Sądowi Specjalnemu już po jego śmierci, znajduje się informacja potwierdzająca wspomnienie Sosabowskiego. Zgodnie z nią strzał, w którego wyniku „Lasso” został ranny, oddano z odległości nie większej niż 50 centymetrów, podczas gdy sam ranny twierdził w rozmowie z Lewińskim, że było to 6–7 metrów (Kedyw 2009, s. 198).

„Lasso” więc prawdopodobnie kłamał i sam do siebie strzelił. Nie wiadomo tylko po co. O ile więc jego zachowanie rzeczywiście należy uznać za dziwne, o tyle trudno zgodzić się z zarzutem tchórzostwa. W momencie kiedy gestapowcy otworzyli ogień do „Onufrego”, w ciągu kilku sekund z miejsca wydarzeń zaczęli uciekać wszyscy uczestnicy akcji, co zaznaczali w zeznaniach. Ich lektura skłania do stwierdzenia, że w sytuacji gdy prawdopodobnie poza Zbigniewem Artem nikt nie podjął walki, jedyną osobą, której wytknięto tchórzostwo, został Tabęcki. Najwcześniejszym znanym źródłem informującym nas o tym zarzucie jest akt oskarżenia „Lassa” napisany po 15 kwietnia 1944 r. Być może więc cała historia została rozbudowana po czasie, aby wzmocnić przekonanie o zdradzie, jakiej miał dopuścić się „Lasso”.

Rybicki notował po latach, że rozmawiali z Lewińskim, co zrobić. W końcu „»Chuchro« przyrzekł usuwać [Tabęckiego] stopniowo z akcji, powoli zrywać z nim łączność oddziałową” (Rybicki 2003, s. 134). „Lassu” powiedzieli, że z uwagi na jego stan zdrowia na jakiś czas muszą odsunąć go od

pracy. Czas jego rekonwalescencji chcieli wykorzystać, by uważniej mu się przyjrzeć.

Lewiński, pieniądze i bandyci

Sytuacja zdawała się wyciszać, gdy w Kedywie OW nagle doszło do wstrząsu. Na początku listopada 1943 r. aresztowany został „Chuchro”.

Według relacji Franciszki Parońskiej, której mąż znał się z Lewińskim z pracy w

Kedywie, wpadł, gdy szedł do mieszkania swojej narzeczonej na ul. Polnej 50. Niemcy akurat urządzili w domu kocioł. Lewiński próbował uciekać, ale dopadli go i pobili. Trafił na Szucha i zapewne na Pawiak.

Gdy tylko wiadomość o jego zniknięciu dotarła do „Montera”, zaczęto szukać możliwości ratunku. Jako pierwszy do pomocy zgłosił się Tabęcki. Jego plan był prosty. Korzystając ze swoich kontaktów i tego, że Niemcy nie wiedzieli jeszcze, kim jest Lewiński, chciał wykupić go za 100 tys.

zł. „Monter” dał mu pieniądze. Dni mijały, a „Chuchro” ciągle pozostawał w więzieniu. „Lasso” tłumaczył Chruścielowi i Rybickiemu, że potrzebuje czasu,

że to nie jest proste. Nie wiemy, czy Tabęcki podejmował jakiegokolwiek próby. O tym, że takie były, wiemy z relacji Parońskiej, która podkreśla, że gdy osoba prowadząca z Niemcami negocjacje zgodziła się na podwyższenie ceny podanej przez nich pierwotnie, ci zorientowali się, iż mają do czynienia z kimś istotnym. Rozpoczęły się przesłuchania połączone z nieustannym biciem. Lewińskiemu udało się wysłać gryps, w którym informował, że Gestapo nie wyciągnęło z niego żadnych informacji. O tym, że do końca milczał, świadczy to,

iż Niemcy nie poznali nawet jego prawdziwej tożsamości. Rozstrzelali go w ulicznej egzekucji 24 listopada, jako Jerzego Redę.

Zanim do tego doszło, Tabęcki szukał sposobu na zmazanie swojej sierpniowej wpadki. Tak długo prosił „Andrzeja” o możliwość rehabilitacji, że ten dał mu najpierw jeden wyrok do wykonania, a potem całą ich listę. „Lasso” żadnego z nich nie mógł jednak wykonać. Rybicki rozumiał,

że nie zawsze akcję da się przeprowadzić z dnia na dzień. Nie winił go za to. Jakby chcąc dać mu jeszcze jedną szansę, a może go sprawdzić, zlecił mu kolejną akcję.

Chodziło o likwidację Mariana Szweda, funkcjonariusza polskiego Kripo. W raporcie podziemia pisano, że „jego zbyt „gorliwość” i służalstwo w stosunku do Niemców przechodzi wszelkie granice. Jest on głośnym i znanym już i w całym mieście znienawidzonym szantażystą”. Tabęcki zabrał się do pracy. Po kilku dniach przyszedł jednak do Rybickiego i oznajmił, że nie wykonał wyroku. Był blisko, czekał już na Szweda w restauracji wskazanej mu przez Leona Millera, również funkcjonariusza polskiego Kripo. Szwed przyszedł, ale zanim „Lasso” cokolwiek zrobił, tamten położył na stole przed nim dwa pistolety i rozpoczął swoją „spowiedź”. Tabęcki mu uwierzył. Teraz domagał się od Rybickiego rozmowy z Chruścieniem. „Andrzej” odmówił, prosząc o raport na piśmie.

Minęło kilka dni. Tabęcki pokazał się z raportem. Nie jednym, a dwoma. W pierwszym, poświęconym Szwedowi, pisał m.in., że tamten tłumaczył, iż „zło, które uczynił, było wynikiem złego wykorzystania jego sił i energii na skutek braku kontaktu z czynnikami międzynarodowymi” (Kedyw 2009, s. 196). Dalej prosił o możliwość przedstawienia jego sprawy górze i danie mu szansy udowodnienia, że jest „dobrym Polakiem”.

Drugi raport dotyczył niejakiego „Ryżego”, żołnierza Kedywu OW, skazanego na śmierć przez podziemny sąd za bandytyzm. To była sprawa sprzed kilku miesięcy. „Ryży” (N.N.) oraz Cezary Szemley-Ketling „Arpad” do Kedywu OW trafili krótko przed akcją pod murami getta. Nie przyszli jednak do „Chuchry” sami, ale z gotowym oddziałem dywersyjnym, który „Ryży” zaczął formować jesienią 1942 r., a w którym główną siłę uderzeniową stanowił blisko 30-osobowy pluton „Arpada”. Bardzo szybko się okazało, że za ich działalnością organizacyjną stoi nie tylko chęć walki z okupantem.

W sobotę 7 sierpnia 1943 r. do ppłk. Konstantego Kułagowskiego „Reżysera”, komendanta Obwodu AK Śródmieście, wpłynęło oświadczenie „Ryżego” w sprawie odsunięcia przez niego „Arpada” od pracy w związku z jego bandycką działalnością, obejmującą m.in. zabicie czterech osób, na których nie było wyroków wydanych przez władze podziemia. „Na zapytanie, dlaczego te rzeczy robi, odpowiedział, że ma swoje plany, swoją ideologię, zaś wyroki powyższe wykonał dla jego wiadomych przyczyn” (Kedyw 2010, s. 33). „Ryży” zarzucał swemu podwładnemu dokonywanie napadów rabunkowych, odmowę

wykonania rozkazów oraz przywłaszczenie sobie siedmiu pistoletów należących do oddziału. Wedle pisma „Ryżego” stał się on celem przynajmniej jednego zamachu dokonanego przez grupę „Arpada”.

Wobec tak poważnych zarzutów rozpoczęto śledztwo, w trakcie którego przesłuchano m.in. Lewińskiego. I to akurat 26 sierpnia 1943 r., w dniu akcji na Czackiego. W wersji, jaką przedstawił „Chuchro”, głównym winnym był „Arpad”. Z protokołu przesłuchania dowiadujemy się, że Tabęcki również znajdował się w kręgu zainteresowania komisji badającej sprawę. Lewiński jednak zarówno jego, jak i „Ryżego” wziął w obronę. Sprawa toczyła się później jeszcze kilka miesięcy, aż w końcu w akcie oskarżenia przeciwko „Arpadowi” i „Ryżemu” z 9 grudnia 1943 r. prokurator w podsumowaniu napisał, że „wina obydwu oskarżonych nie budzi wątpliwości [...]. Zresztą sami w wyjaśnieniach swych obciążają się wzajemnie. Zarówno »Ryżego«, jak i »Janusza« [Arpada] z całym naciskiem scharakteryzować należy, że są to już, niestety, zawodowi bandyci i mordercy. Szybka ich likwidacja jest wskazana” (Obwodowe 2010, s. 42).

Przez następne miesiące obaj skutecznie uciekali przed wyrokiem. Szemley-Ketling nawet przeżył wojnę. „Ryży” pod koniec marca 1944 r. przekazał Tabęckiemu pismo do „Montera”. Tłumaczył w nim, że wszystko, o co go obwiniano, to wina „Arpada”. Prosił jednocześnie o ponowne zbadanie sprawy, anulowanie wyroku oraz przyjęcie do służby.

Rybicki, widząc Tabęckiego w takim towarzystwie, miał coraz mniejsze wątpliwości co do niego. „Lasso” już nie tylko był zamieszany w niewyjaśnioną akcję na Czackiego, lecz także otwarcie przyznawał się do utrzymywania kontaktów z ludźmi, na których podziemie wydało wyroki. Sam miał jeden z nich wykonać. „Monter” jednak ciągle nie był pewien, co zrobić. Być może nie dostrzegał jeszcze niczego niepokojącego, a może nie potrafił dopuścić do siebie myśli, że syn jego przyjaciela robi coś złego. Rozkazał tylko odsunąć go od sprawy Szweda oraz zlikwidować „Ryżego”. Wtedy Niemcy aresztowali „Lasso”.

Finał

Informację o tym dostarczyła żona Tabęckiego, wykorzystując – jak podawał „Andrzej” – swojego brata, który pracował w jednym z oddziałów dywersji. O wątpliwej postawie szwagra podobno nic nie wiedział. Rybicki po latach zanotował: „Dowiadujemy się *via* wywiad »Montera«, że rzeczywiście »Lasso« aresztowany wraz z bronią. Cały mój stosunek do niego ulega jakby jakiemuś wahaniu”. Nie rozumiał, czy to przypadek, czy może jakiś nowy jego pomysł. A może faktycznie niesłusznie go podejrzewał? Jak zwrócił mi uwagę Dariusz Libionka, do dzisiaj niejasne pozostaje, czy Tabęckiego aresztowało Gestapo, czy polskie Kripo. Za tym drugim rozwiązaniem przemawia dalszy rozwój wypadków.

Od tego momentu historia nabrała szalonego tempa. Najpierw „Ryży” i Szwed odnaleźli Rybickiego. Powiedzieli mu, że robią wszystko, co tylko możliwe, aby uwolnić Tabęckiego. Sytuacja była absurdalna. Dwóch ludzi skazanych przez AK na śmierć tłumaczy oficerowi AK, że łada moment wyciągną z rąk Gestapo innego oficera AK. I to takiego, przy którym znaleziono broń i listę gestapowców do likwidacji, co normalnie nie dawałoby żadnych szans na ratunek. „Dziękuję krótko Szwedowi, a ten pyta, czy będę pamiętał o jego sprawie, czy może się już swobodnie poruszać, bez obawy likwidacji. Odpowiadam krótko, że nie mam jeszcze odpowiedzi mojej Komendy. Żegnaj się z nimi”. Zaskoczeń ciąg dalszy. Już następnego dnia „Andrzej” dostał wiadomość, że „Lasso” jest na wolności. Chciał się spotkać. Rybicki przeczuwał, że to podstęp, ale nie miał wyjścia. Musiał to doprowadzić do końca. Rozumiejąc, że historia może się różnie zakończyć, nie chciał narażać swoich najbliższych współpracowników. Odciął się więc od nich, skupiając całą swoją uwagę na tej jednej sprawie.

Spotkali się na rogu Al. Jerozolimskich i ul. Kruczej. Tabęcki, razem ze Szwedem i „Ryżym”, podjechał samochodem – z numerami rejestracyjnymi Kripo. Na głowie miał bandaż. Rzekomo ślad po pobiciu na Szucha. Zapytany, po co mu takie towarzystwo, odparł, że się boi, iż AK go zlikwiduje. A jak wyszedł? Wmówił Niemcom, że jest z NSZ. W trakcie rozmowy zaczął ciągnąć swojego szefa w stronę samochodu. Mówił, że pojedą za miasto, tam spokojnie wszystko omówią.

Odpowiedziałem, że niech mnie nie ciągnie, bo obawiając się zasadzki gestapo

przy widzeniu się z nim, przyszedłem z obstawą i powiedziałem mu o wydanym rozkazie strzelania do nas jako całości. Podziałało natychmiast; „Lasso” zły puścił mnie i chodząc, zaczęliśmy rozmawiać o Szwedzie, który przyłączył się teraz do nas, a przedtem stał na uboczu z „Ryżym”. Szwed „błaga” wprost, bym go przyjął do organizacji. Odpowiadam, że jeszcze nie mam odpowiedzi na raport „Lasso”, lecz spodziewam się, że będę miał ją w najbliższych dniach i wówczas powiadomię (Rybicki 2003, s. 141).

W czasie rozmowy „Andrzej” wpadł na pomysł spotkania z nimi raz jeszcze w pełnym gronie. Nie po to, żeby rozmawiać, ale złapać ich, przesłuchać – i zabić. zaproponował, że kiedy uzyska odpowiedź od góry, odezwie się i ustalą szczegóły. „Lasso” podał mu numer telefonu do swojej matki i rozeszli się. Rybicki od razu ruszył do „Montera”. Teraz nie mógł odpuścić, musiał uzyskać zgodę na likwidację. Tabęcki z całą swoją wiedzą i podejrzanymi kontaktami stał się zagrożeniem. Chruściel też to zrozumiał. Bez sądu – jako komendant okręgu miał taką możliwość – wydał na „Lasso” wyrok śmierci.

„Andrzej” błyskawicznie zaczął szykować akcję. Plan był prosty. Mieli zwabić Tabęckiego, Szweda i „Ryżego” na Żoliborz, w rejon pl. Wilsona, do jednej z willi. Tam chcieli ich obezwładnić i przed wykonaniem wyroku przesłuchać, aby dowiedzieć się, co stało za całą sprawą. Czy chodziło jedynie o działalność bandycką, czy może o coś poważniejszego – współpracę z Niemcami.

Nadszedł dzień akcji, 15 kwietnia 1944 r. Piękna słoneczna pogoda, ciepło. Wszystko miało się zacząć o 17. Ludzie poinstruowani, każdy znał swoje zadanie. Rybicki na miejsce przyjechał dwie godziny wcześniej. Chciał sprawdzić, czy wszystko jest gotowe. Okazało się, że pojawił się poważny problem. Jedna z grup biorących udział w akcji miała opanować dom należący do volksdeutschów. To w nim zamierzano wykonać wyrok. Pech chciał, że odbywało się tam przyjęcie. Wybrali więc inny lokal – szkołę. „Andrzej”, wściekły, nakazał opuszczenie budynku. Nie chciał narażać Polaków na represje. Zamiast tego wybrał rejon ulic Dziennikarskiej i Sułkowskiego. Mało uczęszczany, odsunięty od pl. Wilsona, gwarantujący odrobinę spokoju.

Teraz już tylko sprawność wykonawców decydowała o wyniku sprawy. O 17 Rybicki spotkał się na przystanku z Tabęckim, Szwedem, „Ryżym” i Leonem Millerem. Ostatniego miało nie być, ale skoro już się pojawił, to nie

mógł wyjść z tego cało. Ruszyli. Krok za krokiem zbliżali się na miejsce. Zeszli z pl. Wilsona. Byli już coraz bliżej. „Andrzej” niósł pod pachą gazetę. Sygnał dla reszty, żeby do niego nie strzelali. W końcu mało który z szeregowych żołnierzy AK wiedział, jak wygląda jego dowódca. Jeszcze kilka kroków. Naprzeciwko Rybickiego szło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, Stanisław Sosabowski, napisze po latach:

Pierwsza para Andrzej razem z młodym blondynem, znałem go jako Lasso. Tuż za nimi trzech innych ludzi. Wysoki brunet bez kapelusza szedł tuż za Lassem. Z odległości jakichś 30 metrów Lasso i Andrzej poznali mnie, zaczęli machać do mnie przyjaźnie, witając się. Trójka idąca z tyłu nie wykazywała specjalnego zaniepokojenia. [...] Było ciepło, byłem tylko w koszuli. Lekka wiatrówka była przerzucona przez moje prawe przedramię. Antek miał ręce z tyłu za sobą. To jego ulubiona pozycja. Na dwa metry przed Lassem strzepnąłem trochę wiatrówką, odsłaniając lufę pistoletu, i strzeliłem wprost w okolice serca (Sosabowski 8.08.1974, s. 2–3).

Pierwszy padł Tabęcki, po nim „Ryży” i Miller. Tylko Szwed zerwał się do ucieczki. Ostrzeliwał się z dwóch rewolwerów. Huk strzałów wypełnił ulicę. Prawie dobiegł do rogu. „Andrzej” krzyczał, żeby go zabili. Nie mógł im uciec. W końcu i jego dosięgnęły kule jednego z wykonawców. Zapadła cisza. W ciągu kilku minut ciała wrzucono na ciężarówkę, którą wywieziono je za miasto. Gdzieś na polanie, w jakimś lesie, wszystkie cztery wrzucono do nieoznakowanego dołu.

Pytania

Zanim jednak pochowano zabitych, podczas obdukcji lekarskiej rana głowy Tabęckiego okazała się mistyfikacją. Nie były nią za to znalezione przy nim pozwolenie na broń i papiery baltendeutscha (albo volksdeutscha, tutaj pojawiają się różne wersje). Tomasz Strzembosz podawał nawet, że według jednego z raportów wywiadu istniało zdjęcie, na którym „Lasso” znajdował się w towarzystwie kilku niemieckich oficerów. Wydawałoby się więc, że rzecz jest oczywista – zdrada. Z takimi dowodami trudno bowiem dyskutować. Dlaczego jednak nikogo nie wydał? Nawet po jego śmierci w Kedywie OW nie doszło do żadnego aresztowania. A przecież ze swoimi znajomościami i doświadczeniami mógł

„Lasso” wydać Niemcom całe kierownictwo Kedywu OW, a może nawet i samego „Montera”. Istnieje też możliwość, że chcąc być stale przydatnym dla Niemców, nie powiedział im wszystkiego, co wiedział. Być może liczył na to, że jeśli sam przyproceedzi szefa warszawskiej dywersji, nagroda będzie o wiele większa, niż gdyby „tylko” podał adresy jego lokali.

Także w kilkustronicowym akcie oskarżenia „Lassa”, sporządzonym już po jego śmierci, sprawa współpracy z Niemcami została podsumowana informacją, że ten wątek rozpracowuje kontrwywiad (Kedyw 2009, s. 200).

W piśmie tym Tabęckiego oskarżano o: tchórzostwo i samowolne opuszczenie miejsca akcji w dniu 26 sierpnia; wyjawienie „Ryżemu” i Szwedowi, że są na nich

wydane wyroki śmierci, i wciągnięcie ich do pracy organizacyjnej; zobowiązanie

się do pełnienia funkcji konfidenckich w Gestapo; przyprowadzenie na spotkanie z „Andrzejem” obcych, tj. „Ryżego” i Szweda; cały szereg kłamstw, które miały stworzyć mu odpowiednią legendę w konspiracji.

Dwa z tych trzech oskarżeń, tj. o zobowiązanie się do współpracy z Niemcami oraz tchórzostwo podczas akcji na Czackiego, wydają się niepotwierdzone. Brakuje twardych dowodów na jego związki z Gestapo. Z kolei wątek ucieczki rankiem 26 sierpnia z ul. Czackiego już opisałem, pokazując, że wobec większości uczestników tamtej akcji można by użyć podobnego zarzutu.

O wiele bardziej obciążająca oprócz pozwolenia na broń i sfingowanego aresztowania wydaje się sprawa uwalniania „Chuchry”. Jak pamiętamy, otrzymał na to od „Montera” 100 tys. zł. Lewińskiego nie uratował, ale pieniędzy też nie zwrócił. Tutaj na scenie pojawia się małżeństwo Maria i Wincenty Kułakowscy, znani z tego, że za pieniądze obiecywali pomoc w uwolnieniu

z rąk Niemców różnych osób. Tabęcki również skorzystał z ich usług. Ponieważ od

niego już nie można było się niczego dowiedzieć, należało przesłuchać Kułakowskich. W niedzielę 6 maja 1944 r. do ich mieszkania przy ul.

Śniadeckich

wpadł oddział dowodzony przez Stanisława Sosabowskiego (Sosabowski 5.12.1974, s.

1–3). Opanowali lokal, do którego po chwili przyszedł oficer kontrwywiadu AK Wincenty Kwieciński „Lotny”. Sosabowski, który pozostawił relację z tej akcji,

nie był obecny przy samym przesłuchaniu małżonków, przez co nie wiemy, co powiedzieli.

Po wszystkim oboje zostali zastrzeleni.

Po latach Rybicki, spisując swoje wspomnienia, zanotował, że Kułakowska zeznała, iż od „Lassa” otrzymała 25 tys. zł. Co się stało z resztą, nie wiadomo. Może Tabęcki rzeczywiście próbował wykupić „Chuchrę”, a może większość pieniędzy zachował dla siebie. Możemy jedynie zgadywać.

Są w tej sytuacji dwie prawdopodobne wersje wydarzeń.

Pierwsza dotyczy działalności bandyckiej, w którą „Lasso” wciągnęli „Ryży” i Szwed. Być może postanowili we trzech prowadzić trudną do rozszyfrowania dzisiaj grę z AK i Niemcami. Nie wiemy, kiedy Tabęcki poznał Szweda.

Znajomość

z „Ryżym” rozpoczęła się najpewniej podczas akcji pod murami getta. Być może zachęcony możliwością łatwego zarobku, dał się namówić na współudział w przestępczej działalności „Ryżego” i „Arpada”? Tylko dlaczego jego udział był tak niewielki? W raportach komisji badającej sprawę jego pseudonim przewija się sporadycznie.

Druga możliwość jest związana z działalnością Mariana

Szweda. Światło na nią rzuca Jan Grabowski, opisując działalność

Sonderstreife

SS-Hauptsturmführera Georga Richtera, w ramach którego działał Szwed

(Grabowski

2020, s. 307 i n.). Młodzi, entuzjastycznie podchodzący do swojej pracy dla Niemców, polscy funkcjonariusze Kripo zajmowali się m.in. wykonywaniem wyroków

na Polakach oraz napadami rabunkowymi na wybrane osoby. Sam Szwed był zamieszany w aresztowanie Adolfa Bermana, który zabrany na komisariat, wykupił

się kwotą 200 tys. zł (Libionka 2018, s. 155).

Według raportów wywiadu AK ludzie Richtera skupiali

się jednak przede wszystkim na wynajdywaniu dróg dotarcia do podziemia. Być może więc Szwed, wykorzystując Tabęckiego, próbował dotrzeć jak najgłębiej do struktur

konspiracyjnych. Zastanawia jedynie, dlaczego nie wykorzystał okazji, gdy spotkał się z Rybickim. I to aż dwukrotnie przed 15 kwietnia. Czy chodziło mu o

kogoś wyżej postawionego? Nie wiadomo. Nie jest również jasne, czy „Lasso” dał

się wciągnąć w tę historię świadomie. Być może mu za to zapłacono. Szwed, jak widzieliśmy, dysponował dużymi pieniędzmi. „Ryży” po tym jak zakończył bandycką

działalność w duecie z „Arpadem”, mógł zostać zwerbowany przez Szweda, a ten z

kolei polecił mu wciągnąć „Lasso” do pracy. Wszystko to jednak są wyłącznie

gdybania.

Wątpliwości w sprawie Tabęckiego nie pozbył się sam Rybicki. Jeszcze w latach siedemdziesiątych ukrywał przed jego matką okoliczności śmierci syna, a nazwisko przed historykami. Skazani oni byli wtedy na pisanie o Tabęckim N.N. – nazwisko nieznane. Dzisiaj, choć nazwisko już znamy, ciągle wielu rzeczy nie wiemy.

Historia Jerzego Mieczysława Tabęckiego „Lassa”, „Cerbera”, mimo niezwykle sensacyjnego jej przebiegu, a także tego, jakie postaci były w nią zamieszane, do dzisiaj nie doczekała się poważniejszego zainteresowania ze strony historyków. Tymczasem już nawet w tym niepełnym jej zarysie, bogatym w dziury i pytania bez odpowiedzi, sprawia wrażenie idealnego przyczynku do dyskusji nad tym, jak łatwo w podziemiu przejść od bohatera do bandyty czy wręcz zdrajcy. Szczególnie w oddziałach bojowych. Stanisław Aronson „Rysiek”, jeden z ostatnich żyjących żołnierzy Kedywu OW, opowiada, jak od swoich dowódców słyszeli w oddziale, że to, co robią, czyli m.in. akcje bojowe, ale też wykonywanie wyroków, od bandytyzmu dzieli cienka linia. Z kolei Tadeusz Wiwatowski, jeden z najbliższych współpracowników Józefa R. Rybickiego, rozumiejąc, jak łatwo w dywersji przekroczyć granicę, jak łatwo dywersja może „wykoleić człowieka”, ratunku dla siebie szukał w powrocie do przedwojennych zajęć, czyli w jego przypadku w pracy naukowej.

Czy Tabęcki przekroczył tę granicę? Tutaj nie ma wątpliwości. Ale ciągle nie wiemy, jak daleko za nią się znalazł ani jak dokładnie wyglądał ten proces. Trwał on niecały rok. 22 kwietnia 1943 r. pod murami getta uratował życie Lewińskiemu i Lewandowskiemu. 15 kwietnia 1944 r. na warszawskim Żoliborzu zginął z wyroku wydanego przez przyjaciela swojego ojca. Z bohatera podziemia stał się dla niego zagrożeniem.

Być może istnieją źródła dokładniej opisujące losy „Lassa” – kolejne relacje ludzi, którzy go znali, raport Kwiecińskiego z przesłuchania Kułakowskich, materiały warszawskiego Gestapo. Być może jest gdzieś jego zdjęcie. Ponieważ mam nadzieję, że to wszystko jednak istnieje, czekając tylko na odkrycie i ułożenie w jeden spójny obraz, chciałbym, aby ten tekst stanowił wstęp do wyjaśnienia tej historii.

Za pomoc w napisaniu artykułu, uwagi i korekty pragnę podziękować prof. Dariuszowi Libionce.

Bibliografia:

Źródła archiwalne

Lewandowski

Z., 8.09.1974; AAN, ATS, sygn. 78, notatka Z. Lewandowskiego.

Lewandowski

Z., 9.09.1974; AAN, ATS, sygn. 78, notatka Z. Lewandowskiego.

Rybicki

J.R., Kummant L., Witkowski H., 05.1973; sygn. 409, relacja zbiorowa spisana przez T. Strzembosza.

Rybicki

J.R., 22.05.1979; AAN, ATS, sygn. 45, relacja J.R. Rybickiego spisana przez T. Strzembosza.

Sosabowski

S., 8.08.1974; GR BUW, AJR, nr inw. 5300, list S. Sosabowskiego do J.R. Rybickiego.

Sosabowski

S., 5.12.1974; GR BUW, AJR, nr inw. 5300, list S. Sosabowskiego do J.R. Rybickiego.

Sosabowski

S., 11.12.1974; GR BUW, AJR, nr inw. 5300, list S. Sosabowskiego do J.R. Rybickiego.

Opracowania

Grabowski

J. (2020), *Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*, Wołowiec.

Kedyw

Okręgu Warszawa Armii Krajowej. Dokumenty – rok 1943 (2006), oprac. H. Rybicka, Warszawa.

Kedyw Okręgu Warszawskiego

Armii Krajowej. Dokumenty – rok 1944, (2009), oprac. H. Rybicka, Warszawa.

Lewandowski

Z. (1985), *Wierni przysiędze [w:] H. Nakielski, Biret i rogatywka*, Warszawa.

Libionka

D. (2018), *Polska Podziemna wobec szantażystów i szmalcowników w Warszawie. Korekta obrazu, „Zagłada Żydów. Studia i materiały”, nr 14.*

Obwodowe

oddziały dywersji bojowej Okręgu AK Warszawa. Dokumenty warszawskiego Kedywu z lat 1943–1945, (2010), oprac. H. Rybicka, Warszawa.

Oddział

Dyspozycyjny „A” warszawskiego Kedywu. Dokumenty z lat 1943–1944 (2007), oprac. H. Rybicka, Warszawa.

Rybicki

J.R. (2003), *Notatki szefa warszawskiego Kedywu*, Warszawa.

Strzembosz

T. (1983), *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy*, Warszawa.

Valcini

A. (1973), *Golgota Warszawy 1939–1945. Wspomnienia*, tł. S. Widłak, Kraków.

Witkowski

H. (1984), *„Kedyw” Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej w latach 1943–1944*, Warszawa.

Korekta językowa: Beata Bińko

Wojna w kanałach



W dyskusji udział wzięli:

Dr Sebastian Pawlina

Dr Janusz Marszałec

Prowadzenie:

Dr Mariusz Zajączkowski

Realizacja wideo:

Kanały, czyli emocjonalna historia Powstania Warszawskiego



Grupa powstańców po wyjściu z kanału na ul. Wareckiej na początku września 1944 r.

SEBASTIAN PAWLINA

Kanały, czyli emocjonalna historia Powstania Warszawskiego

Trudno w historii Powstania Warszawskiego doszukać się postaci równie kontrowersyjnej, co Włodzimierz Kozakiewicz „Barry”. Szefa żandarmów na Starym Mieście jedni zapamiętali niemalże jako bandytę stosującego gestapowskie metody. Dla innych stał się człowiekiem, który dzięki swojemu zdecydowaniu uratował jeśli nie tysiące, to setki osób. Dominujące są jednak te pierwsze opinie, tworzące od 75 lat jego czarną legendę. Pełne pretensji, złości i żalu, w dużej mierze zapewne uzasadnionych. Brutalne metody, jakie on sam oraz jego żołnierze stosowali w czasie ewakuacji oddziałów powstańczych ze Starówki na początku września, trudno podważyć. Wspomnienia powstańców są ich pełne. Pojawiają się w nich wyzwiska, grożenie bronią, odpychanie ludzi. W szczególnie zapalnych sytuacjach musieli interweniować dowódcy oddziałów. Jak wtedy, gdy „Barry” domagał się od dowództwa Starówki zgody na użycie broni wobec samych powstańców (Podlewski 1957, s. 562).

Ostatecznie mimo przeprowadzania ewakuacji w skrajnie trudnych warunkach uratowano wówczas kilka tysięcy ludzi. Kiedy miesiąc później na Mokotowie próbowano powtórzyć ten wyczyn, efekt okazał się dramatyczny. Wszystko to, co na początku września funkcjonowało, tym razem nie zadziało. Zawiodły ochrona włączów, pilnowanie kolejności schodzenia do kanałów, komunikacja pod ziemią. Nie wynikało to jednak z winy ludzi. Postawieni wobec rzeczywistości

wykraczającej poza zdolność pojmowania, a przede wszystkim – kontrolowania, nie byli w stanie nic zrobić. Musieli przegrać.

Obie te opowieści, zestawione obok siebie, pomagają lepiej zrozumieć samo Powstanie Warszawskie. Pokazują, w jak olbrzymiej mierze rządziły nim emocje. Do tego stopnia, że wszystko, co się wówczas działo, można opowiedzieć ich językiem. Dopóki powstańcy potrafili jeszcze dostrzec nadzieję, nieważne czy realną, czy jedynie wyobrażoną, znajdowali w sobie siłę do przeprowadzenia najbardziej karkołomnych operacji. Gdy tej nadziei zabrakło, organizacja i dyscyplina rozsypały się, co doprowadziło do tragedii. Bo w porównaniu ze staromiejską ewakuacją ta mokotowska stała się koszmarem, doskonale oddanym w *Kanał* Jerzego Stefana Stawińskiego oraz w jego filmowej adaptacji Andrzeja Wajdy.

W tym tekście spróbuję pokazać, w jaki sposób emocje pomagają opowiadać o historii, a także jak mocno wpływają na przebieg wydarzeń. Żeby uporządkować narrację, ograniczę się do jednego zaledwie elementu powstańczej rzeczywistości – do kanałów.

Podjęmę tu próbę zrekonstruowania tego szalenie ulotnego elementu naszej codzienności, jakim są emocje. Jako odczucie pojawiające się nagle, pod wpływem konkretnych wydarzeń czy osób, są trudne do uchwycenia w materiałach źródłowych. Tak jak nagle powstają bowiem, tak równie szybko potrafią zniknąć. W efekcie na istnienie nadziei, złości, bezradności czy niepewności nie ma twardych dowodów, przez co odtwarzanie ich staje się dla historyka procesem poszlakowym. Dlatego też trzeba pamiętać, że wszystko, co zostanie tutaj na ich temat napisane, należy traktować z odpowiednią dozą dystansu i powątpiewania.

Emocje w teorii

Zacznę jednak od uwag natury ogólnej – mniej pasjonujących niż opowieść o kanałach i emocjach, ale niezbędnych do lepszego zrozumienia zagadnienia. Trzeba jasno podkreślić, że mówienie o emocjach sprawia problem już na poziomie kategoryzacji zarówno jeśli chodzi o podział emocji samych w sobie, jak i sposób ich powstawania.

Jak stwierdza Kamil Imbir, psycholog specjalizujący się w relacjach między emocjami a procesami poznawczymi, „emocje niewątpliwie są jednym z centralnych przedmiotów badań psychologii [...]. Ale nadal, mimo postępu badań i licznych konceptualizacji [...] nie ma konsensusu co do natury, struktury i funkcji emocji” (Imbir 2012, s. 11).

W przyjętej przez siebie taksonomii ludzkich emocji Imbir opisuje dwie grupy – emocje automatyczne oraz emocje refleksyjne. Podstawowa różnica między nimi leży już w sposobie ich powstawania. Ścieżka tworzenia emocji automatycznych jest krótsza (bodziec – wzgórze – ciało migdałowate – reakcja), z czego wynika funkcja, jaką te emocje pełnią. „W sensie ewolucyjnym emocje te są skryptami pozwalającymi sobie radzić z zagrożeniami wywołanymi dynamiką procesów organizmalnych oraz stanami środowiska zewnętrznego, które mogą być awersyjne lub (zmysłowo) atrakcyjne” (tamże, s. 45). Występują w postaci impulsów, które skłaniają albo do walki czy ucieczki, albo „do zbliżania się

do tego, co wywołuje przyjemność, wobec tego, co dzieje się w środowisku”.

Zupełnie inaczej rodzą się emocje refleksyjne (bodziec – wzgórze – kora mózgowa – ciało migdałowe – reakcja). Poprzedza je „ocena rzeczywistości lub jej antycypowanych możliwych stanów, porównywanych z wyartykułowanymi standardami tego, co dobre czy złe, a w zależności od tego, czy sytuacja pasuje do danego wzorca, dany czy antycypowany stan rzeczy zostaje określony jako mniej lub bardziej pozytywny czy negatywny”. Te emocje tworzą się pod wpływem wartościowania, są więc zależne od wcześniejszych doświadczeń i poglądów, chociaż samo wartościowanie może przebiegać w sposób zautomatyzowany.

Inną kategoryzacją, na którą powołuje się Kamil Imbir, jest ta zaproponowana przez amerykańskiego psychologa Roberta Plutchika. Opiera się na ośmiu głównych emocjach, tworzących cztery przeciwstawne pary. Przez ich wzajemne oddziaływanie na siebie powstają „emocje mieszane”. Dobrze oddaje to poziom skomplikowania emocji, których powstawanie jest zależne od sytuacji, uwarunkowań kulturowych, a także od indywidualnych cech pojedynczego człowieka (Rosenwein 2015, s. 380). W przypadku każdego z nas tworzą one niepowtarzalną mieszankę, co z jednej strony czyni temat trudnym do generalizowania, a jednocześnie tak pasjonującym.

Żeby nie gmatwać jeszcze bardziej problematyki kategoryzacji emocji, zatrzymajmy się w tym miejscu. Z przedstawionych koncepcji widać, że wśród specjalistów nie ma zgody co do tego, jak je uporządkować. Dla nas najbardziej atrakcyjna w kontekście historii emocjonalnej jest koncepcja emocji automatycznych i refleksyjnych. Jednocześnie trudno nie zgodzić się z wizją Plutchika, zakładającą, że emocje wzajemnie na siebie wpływają, tworząc coraz bardziej skomplikowane układy.

Czym jednak jest ta historia emocjonalna, a raczej – czym powinna być? Emocje jako nierozdzielna część życia człowieka wywierają na niego wpływ. Czasem większy, innym razem mniejszy, ale niezaprzeczalny. Stają się tym samym elementem jego codzienności. Kolejnym kluczem do zrozumienia, co, jak i dlaczego robi. Historia emocjonalna wydaje się szczególnie przydatna w opisach sytuacji skrajnych, przełomowych, takich jak z jednej strony wojny, rewolucje, a z drugiej katastrofy naturalne, co znakomicie widać na przykładzie badań Haralda Welzera (Welzer 2010, s. 43–45). Burząc zastane ramy społeczne, w których ludzie nauczyli się funkcjonować, zmuszają ich do wyjścia poza sprawdzone schematy zachowań. To, co dotąd było dobre, w nowej rzeczywistości może uchodzić za złe. To, co było naganne, po zmianie może się stać akceptowalne. Dla wielu ludzi, jak przekonuje Jonathan Lear (Lear 2013, s. 91), przeprowadzenie takiej zmiany systemu wartości stanowi poważne wyzwanie, co z kolei może prowadzić do powstania bardzo silnych emocji.

Te, poza krótkotrwałym wpływem na człowieka, potrafią odciskać swoje piętno na nim przez długie lata, a nawet na kilku pokoleniach jego bliskich. Długotrwałe odczuwany strach może na przykład doprowadzić do traumy. Ta zaś, jak wynika z badań z zakresu epigenetyki, może być (choć nie musi, to ciągle wymaga potwierdzenia) dziedziczona nie tylko społecznie, lecz także genetycznie (Ziółkowski, Frejłak 2017). Sprawia to, że badanie emocji naszych przodków może nam pomóc lepiej zrozumieć nasze własne emocje (Łucka, Nowak

2014). Jest więc historia emocjonalna z jednej strony sposobem na opowiadanie o przeszłości, z drugiej zaś szansą na lepsze zrozumienie teraźniejszości.

Emocja pierwsza: nadzieja

Na początku jest nadzieja. Często niepewna, bazująca tylko na pragnieniu, aby stało się to, co uważamy za dobre dla nas czy dla grupy, z którą się identyfikujemy. Tak było w Warszawie na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., kiedy tysiące żołnierzy podziemia i dziesiątki tysięcy cywili marzyło o tym, żeby wypędzić Niemców z Warszawy. Widać to w zapiskach świadków tamtych dni.

Jednym z najpowszechniejszych widoków w ich wspomnieniach są niemieckie kolumny wycofujące się ze wschodu na zachód. Przypominały one warszawiakom sceny obserwowane w 1941 r., gdy potężna niemiecka machina wojenna zmierzała w stronę ZSRR. Tym razem jednak nastroje były inne – zarówno Niemców, jak i Polaków. Ci pierwsi szli ze spuszczoneymi głowami, uciekając przed sowieckim natarciem, pod którym w rozsypkę szły dywizje i armie. Drudzy podnosili głowy wysoko, najwyżej od pięciu lat. Ryszard Górecki „Majtek” z batalionu „Parasol” pisał po latach, że „to był obrazek niezapomniany w swej urodzie”. Przyglądając się temu odwrotowi, on i jego koledzy, byli pewni, „że takie łachudry wojny z nami nie wygrają. Zwłaszcza mając na karku wielką armię. Rozpierzchną się jak stado baranów” (Górecki 1977, s. 211).

Nadzieja na wyzwolenie Warszawy czasem zamieniała się w złość, nienawiść, chęć zemsty – jak u Moniki Żeromskiej: „W nocy 31 lipca przeżywam atak strachu, że nic się nie dzieje, że huczące z daleka, z pustych ulic transporty wojska niemieckiego odjadą wreszcie, miasto ucichnie i nic się nie stanie, że oni uciekną, umkną nam bez kary” (Żeromska 1994, s. 99, 100).

U innych nadzieja mieszała się z radością. Był wśród nich Stanisław Jankowski „Agaton”, cichociemny i architekt:

23 lipca 1944 roku staliśmy z „Krystyną” w milczącym tłumie na rogu Nowego Świata i Alei Jerolimskich. Patrzyliśmy z satysfakcją i z pogardą. Niemcy uciekali. Nie cywilne władze i volksdeutsche, chyłkiem, po nocy, ładujący ukradziony dobytek na ciężarówki, ale wojsko niemieckie, jawnie, w biały dzień! Szeroką jezdnią Alei Jerolimskich ciągnął nieprzerwanie, od wielu godzin, sznur wojskowych pojazdów i sprzętu, ciężarówek i wszelkiego autoramentu pojazdów konnych: furgonów, bryczek, wozów drabiniastych. Zrezygnowani kierowcy nie usiłowali wyprzedzać konnych pojazdów, ciągniętych przez wychudzone szkapy w dziwnych uprzężach. Nieliczne, zwarte oddziały i tłum zmęczonych, brudnych, nieogolonych żołnierzy. Szli zza Wisły, na zachód, w kierunku Woli i Ochoty. Gorąco było. Szli w rozpiętych mundurach, z gołymi głowami, z karabinami, trzymanymi niedbale za lufę, lub bez broni. Wolno, noga za nogą, przystając co chwila. Przysiadali na skraju chodnika, odpoczywali i szli dalej. Nie patrzyli nam w oczy. Długo czekaliśmy na taki widok (Jankowski 2019, s. 482).

W końcu powstanie wybuchło. Już w pierwszych dniach pozbawione jednolitego i sprawnego dowództwa, zaczęło się zamieniać w zbiór oddzielonych od siebie zrywów, zamkniętych w poszczególnych dzielnicach i powoli duszonych przez

Niemców. Jeden po drugim. Ochota, Wola, Stare Miasto... Ale ten rozpad, obserwowany od samego początku, nie odebrał jeszcze nadziei. Wobec narastających trudności z komunikacją między dzielnicami zaczęto szukać nowego źródła komunikacji.

Szczególny nacisk kładzono na znalezienie połączenia z Mokotowem, z którym od 1 sierpnia dowództwo powstania nie miało kontaktu. Po wielu próbach przedarcia się wszystkimi możliwymi trasami naziemnymi ze Śródmieścia na Mokotów przez kompletny przypadek zdecydowano się spróbować jeszcze jednej trasy – kanałów. Przed wybuchem walk nie brano ich pod uwagę ani jako drogi łączności, ani trasy dla oddziałów bojowych. Powstanie miało się zakończyć w ciągu kilku dni, wobec czego schodzenie pod ziemię nie miało racji bytu. Ale rzeczywistość zdecydowała inaczej.

Nocą z 5 na 6 sierpnia 1944 r. dwie łączniczki – jedną z nich była Elżbieta Gross „Ela”, po wojnie Ostrowska – zeszyły do wjazdu kanałowego na placu Trzech Krzyży. Dysponując jedynie starymi planami kanałów, ruszyły przed siebie. Pozostawione przez „Elę” opisy przejścia na Mokotów są pełne niewyobrażalnych trudności, z jakimi musiały mierzyć się te dwie młode dziewczyny:

W postawie zgiętej wpół ciężko oddychać, pot zalewa twarz, drętwieją nogi. Byle prędszej, byle się nie zatrzymywać! Szum w uszach rośnie, przed oczami ukazują się czerwone płatki, łączą się ze sobą, zlewają w plamy, wirują. Prędszej, prędszej! [...] Każdy krok staje się męką. Smugi przed oczami zlewają się z cieniem wzdłuż ścian, zatracą się granica rzeczywistości, braknie rozeznania. Kanał przytłacza, obejmuje ścianami jak mackami, zamyka w nich, wysysa resztę oddechu (Ostrowska 1984, s. 104, 107).

W tych warunkach najbardziej naturalną emocją był strach. Strach, że się nie znajdzie celu, że się zabłądzi, że się zgubi w całkowitych ciemnościach, że zginie się na dole, że zostanie się zaatakowanym przez szczury. Tymczasem w opowieści Ostrowskiej odnajdujemy także inne emocje – nadzieję i radość. Pierwsza wynikała z przekonania, że jej misja ma duże znaczenie dla przebiegu powstania. Druga – ze świadomości, że tam na dole Niemcy nic jej nie mogą zrobić. Nie wiedząc o niej, jej nie zagrażają. Widać to, gdy pisze, że „z uczuciem grozy i utwierdzonej przez lata wzgardliwej nienawiści miesza się niepodziewanie miłe uczucie przekory i satysfakcji, uczucie bezmiernej radości, która by chciała krzyczeć i śpiewać, że szwabska żelazna potęga nie zdoła nam przeszkodzić, że wbrew niej wykonamy zadanie” (tamże, s. 104).

I zadanie udało się wykonać. Dzięki dwóm łączniczkom nawiązano łączność z Mokotowem. Ich misja przyniosła jeszcze jeden efekt – dowództwo powstania przekonało się o tym, jak przydatne mogą być w walce kanały. W ciągu kilku dni uruchomiono kolejne trasy kanałowe. Wszystkie były wyrazem nadziei, że powstanie jeszcze uda się uratować, że są na to środki. Jednocześnie jednak kanały stały się symbolem kolejnej emocji, która miała z różnym natężeniem towarzyszyć stronie polskiej do samego końca – bezradności.

Emocja druga: bezradność

Ten etap emocjonalnej historii powstania jest trudny do jednoznacznego

wskazania w źródłach. Czytając je, znając przebieg walk, automatycznie wyczuwa się tę bezradność. Widzi się, że wszystkie podejmowane starania nie mają szansy zmienić losu zrywu. Mimo to kolejni łącznicy i łączniczki schodzili te kilka metrów pod ziemię, w ciemność totalną, żeby przerosić rozkazy, meldunki, broń, amunicję, żywność, lekarstwa, żeby ludziom odciętych od swoich bliskich dostarczać listy.

Bezradność dotyczyła nie tylko braku realnego wpływu na bieg wypadków, lecz także przebywania w samych kanałach. Zmagania z warunkami panującymi na dole stawały się odbiciem zmagania toczonych na powierzchni z Niemcami. Tam przeciwnikiem był człowiek i jego śmiertelność maszynaria, tutaj, w ciągnących się kilometrami tunelach – własne słabości, fizyczne i psychiczne. Relacje powstańców są ich pełne.

Eleonora Lewandowska „Nora” notowała, jak szła, „trąc silnie grzbietem o sklepienie, chcąc wbrew możliwościom unieść się trochę wyżej. A wyżej był tylko kamienny strop, który bezlitośnie przygniatał do ziemi! Ogarnęła mnie rozpacz. Uczułam, że ta droga to szaleństwo, że ja jej nigdy nie przebędę!” (Kaczyńska 1993, s. 25).

Tak z kolei swoje doświadczenia opisywał Janusz Polkowski „Sójka”:

Okazuje się, że sąsiedni dom na Mazowieckiej się palił i dym znalazł ujście przez rury kanalizacyjne. Nie normalnie do komina, tylko przez rury kanalizacyjne do kanału szedł dym. Potem dym się przerzedził i we dwóch weszliśmy. Pierwsze wejście było okropne, bo człowiek wpadł w tą rurę ściekową, smród ogromny, ale później to już się nie czuło. [...] Worek amunicji ciążył, więc jak nie trafiło się drążkiem na obwód kanału, to worek ciągnął do dna, piętnaście kilo. Jakie przygody były po drodze? Przygoda była taka, że w pewnym momencie dochodzimy do miejsca, gdzie [kanał] się rozgałęzia. Jeden kanał idzie lekko pod górę, z niego wali rwąca woda. Drugi kanał, stosunkowo suchy, w prawo. Ten z kanalizacji mówi, że raczej powinniśmy iść w ten z rwącą wodą. Ale to nie bardzo się [nam] uśmiechało, bo pół kanału zalane wodą, tak że bardzo trudny do przejścia. Któryś poszedł w tą odnogę suchą, ale wrócił, bo ślepa. Zostało nam albo do przodu w tą rwącą wodę, a do tyłu nie ma mowy, bo nie wypada (Polkowski 2008).

Kazimierz Sheybał „Antek”, doświadczony przewodnik kanałowy, człowiek, który w kanałach czuł się bezpieczniej niż na powierzchni, w spisanych po wojnie wspomnieniach opowiadał o powstańcu, który po wejściu do bardzo niskiego i wąskiego kanału dosłownie stracił nad sobą kontrolę. „Byliśmy świadkami (jeżeli można być świadkiem czegoś w tak przeraźliwie ciasnej i ciemnej przestrzeni) – typowego szoku nerwowego związanego z poczuciem zamknięcia. Objawił się on przeraźliwym krzykiem, przechodzącym w jęk i skomlenie, a chwilami w nerwowy szloch – co delikwent czynił, nie bacząc na obowiązujące tu rygory” (Sheybał, k. 34).

We wszystkich trzech pokazanych przypadkach przyczyny bezradności były podobne – klaustrofobiczne warunki panujące w kanale, całkowita ciemność otaczająca ludzi, obijanie się o ściany, konieczność radzenia sobie z nieczystościami czy wysokim stanem wody. Niekiedy, jak widać w historii

opowiedzianej przez Sheybala, prowadziło to do załamania nerwowego.

Wyżej, na powierzchni, sytuacja przybierała podobne kształty. Szczególnie na Starym Mieście, gdzie pod koniec sierpnia 1944 r. również trzeba było radzić sobie z coraz mocniejszym poczuciem zamknięcia. Niemieckie okrążenie z każdym dniem zaciskało się bowiem mocniej i mocniej, aż w końcu dowództwo powstania musiało podjąć decyzję o wycofaniu się. Znakomicie tę sytuację podsumowała w swoich wspomnieniach Barbara Niewiadomska-Kardasz „Skowronek”, mówiąc, że „nad Starym Miastem zawisło jakieś złowieszcze fatum. Jakby przeszło tędy czterech jeźdźców Apokalipsy, pozostawiając po sobie zło i zagładę” (Rumianek 2010, s. 263).

Emocja trzecia: niepewność

Najpierw podjęto próbę przeprowadzenia oddziałów oraz ludności cywilnej górą. Akcję przebiecia się do Śródmieścia wyznaczono na noc z 30 na 31 sierpnia. Niestety, z braku odpowiednich sił operacja zakończyła się klęską. Jedyne niewielka grupa powstańców zdołała przejść przez Ogród Saski do polskich stanowisk w Śródmieściu. Reszta została zmuszona do cofnięcia się w sam środek staromiejskiego kotła, z którego – jak wielu wówczas myślało – nie było już ucieczki.

Pozostała jednak droga ratunku – kanały. To wtedy narodziła się ich legenda. Wycofanie kilku tysięcy żołnierzy kanałami do Śródmieścia i na Żoliborz (o czym rzadko się wspomina) stanowi nie tylko najlepiej znany epizod z ich wykorzystaniem, lepiej nawet niż pokazana przez Wajdę ewakuacja Mokotowa, lecz także jeden z symboli Powstania Warszawskiego.

Ten symbol wykuwał się w warunkach absolutnie nieludzkich. Sceny, do jakich dochodziło w kanałach, a także na powierzchni, na placu Krasińskich i w jego okolicach, przypominają żywcem wyjęte z apokaliptycznych wizji końca świata – takich jak te z tryptyku Hansa Memlinga, z podziałem na zbawionych (to ci, którym udało się zejść do kanału), potępionych (wszyscy, którzy musieli zostać na Starówce) oraz wydających sądy (personel sanitarny i żandarmeria). Żeby się o tym przekonać, nie trzeba daleko szukać. Relacje świadków są pełne podobnych obrazów. Tak zapisał oglądane przez siebie sceny autor quasi-reportażu o walkach batalionu „Gozdawa”:

W krzykach goryczy i żalu czuło się bezmiar krzywd, ofiar i gehenny ludności, która cierpiała i umierała tak samo jako żołnierze, a nie miała nawet chwili satysfakcji, jaką daje aktywna walka z wrogiem. Płacz przenoszonych, wyrwanych ze snu dzieci, jęki i przekleństwa rannych porzuconych bez opieki, błagania starców o pomoc zlewały się z wybuchami pocisków granatników i wystrzałami w jakąś makabryczną symfonię chaosu i zniszczenia. Najbardziej makabryczne wrażenie sprawiała para staruszków, którzy za nic nie chcieli opuścić pomieszczenia w zasypanej gruzem stróżówce na rogu Podwała i Kapitulnej. Dom już płonął, a żadne argumenty nie trafiały im do przekonania. Dopiero płomień zmusił tych ludzi do opuszczenia domu ze złowrogim „oby was Bóg pokarał” (Gustaw, k. 11).

W tym samym czasie personel medyczny musiał podejmować decyzję, kto może

zejść do kanału, a kto nie. Tych, którzy musieli pozostać, niemalże skazywano na śmierć. Wiedzano, co Niemcy zrobili z rannymi na Woli. Tadeusz Pogórski „Morwa”, lekarz batalionu „Gozdawa”, wspominał później, jak idąc zatłoczonymi korytarzami jednego z powstańczych szpitali, wskazywał palcem: ten idzie, ten też, ale ten zostaje, i tamten, i ten obok także. „I nigdy nie zapomnę ich wzroku, jak patrzyli na mnie jak na wyrokodawcę. Trudność, powiedzmy, polegała na tym, że jeżeli miałem żołnierza z przestrelonym ramieniem, na wyciągu, ze stosunkowo świeżym postrzałem, zagrożonego szokiem, to nie wolno mi było ulec emocji ze względu na innych przechodzących przez kanały” (Zawodny 1994, s. 321). W jego relacji jednak wyraźnie daje się odczuć swoistą niepewność – niepewność wynikającą z wątpliwości, czy wolno mu wydawać takie wyroki. „Jeżeli ich pozostawię – mówił – pozostawię ludzi, którzy dali z siebie wszystko, co może w ogóle człowiek dla ojczyzny dać”.

Innego typu wątpliwości opadły Annę Jakubowską „Paulinkę”, sanitariuszkę z batalionu „Zośka”. Ona nie zastanawiała się nad tym, czy ma zostawić obcych sobie ludzi, ale własną siostrę, Marię Swierczewską „Marynę”, także sanitariuszkę. Poważnie rannej, nie można było sprowadzić do kanału. Wiedząc, co może je czekać, „Paulinka” zdecydowała się zostać z nią. Chciała to zrobić wbrew rozkazowi, który jasno tłumaczył, że wszyscy żołnierze mają obowiązek opuścić Stare Miasto. Wtedy do akcji wkroczyli koledzy i koleżanki Anny Jakubowskiej. Zaczęli jej tłumaczyć, że nie może tego zrobić. „Sugerowali, że Marysia ma szansę na szybką operację – a więc na przeżycie – wyłącznie po stronie niemieckiej, że szpital oznaczony czerwonym krzyżem ocaleje. W końcu uciekli się do szantażu moralnego: jesteś potrzebna, musisz pomóc przejść kanałami innym, lżej rannym. Jesteś żołnierzem i nie masz prawa w warunkach wojennych kierować się prywatnym, osobistym interesem” (Jakubowska, Bukalska 2018, s. 13–14). Ostatecznie „Paulinka” zeszła do kanału, zostawiwszy siostrę. „Maryna” zginęła 2 września 1944 r. w wyniku zbombardowania szpitala.

Niepewności musieli się pozbyć żandarmi pilnujący kolejności wchodzenia do kanału. Ludzie Włodzimierza Kozakiewicza „Barry’ego” zgodnie z otrzymanymi rozkazami mieli nie wpuszczać nikogo, kto nie posiadał przepustki albo nie należał do oddziału, który zgodnie z wyznaczonym harmonogramem powinien akurat schodzić pod ziemię. O tym, że swoją pracę wykonywali sumiennie, świadczą dziesiątki relacji o starciach pomiędzy nimi a powstańcami. Starcia, w których trakcie grożono im bronią, pluto na nich, nazywano gestapowcami. Ale oni nie pozostawali dłużni, również używając argumentów siłowych.

W źródłach nie ma śladów tego, o czym wtedy myśleli jedni i drudzy, jakie emocje nimi targały. Można jedynie zgadywać. Tym, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, jest mieszanka trzech emocji. Dwie pierwsze to właśnie niepewność, czy to, co robią, ma sens wobec otaczającego ich koszmaru, oraz nadzieja, która pchała ich w stronę kanału, stanowiącego jedyną szansę na ratunek. Trzecia zaś to strach. Być może czuli jeszcze, że są w stanie walczyć z Niemcami, choć nie w tym miejscu. A może zwyczajnie mieli w sobie jeszcze tak silną wolę życia, że mimo wszelkich trudności byli w stanie przeprowadzić ewakuację, która zdawała się niemożliwa do zrealizowania. Trzy tygodnie później tej nadziei już nie będzie.

Emocja czwarta: strach

Choć ostatecznie przejście kanałami w Powstaniu Warszawskim nastąpiło wraz z upadkiem Żoliborza 30 września, ta wielka rola kanałów zamyka się *de facto* wraz z kapitulacją Mokotowa 27 września. Koniec walk o tę dzielnicę nadszedł niespodziewanie szybko. Jeszcze kilka dni wcześniej obrońcy Mokotowa, patrząc na przybyłych kanałami obrońców Czerniakowa, przekonywali ich i siebie, że pokażą, jak się walczy. Gdy jednak runęło na nich niemieckie natarcie, w krótkim czasie doświadczyli, że to nie jest takie proste. Dowódca Mokotowa wobec braku innych możliwości podjął decyzję o odwrocie. I ponownie wzrok powstańców skierował się pod ziemię.

Tym razem jednak zabrakło im wszystkiego tego, co mieli powstańcy na Starym Mieście: sprawnie działającej żandarmerii, realizującej dobrze opracowany plan, odpowiedniej liczby przewodników (trasa z Mokotowa do Śródmieścia była dłuższa niż ze Starówki do Śródmieścia, przez co przewodnicy nie mogli na niej kursować z taką samą częstotliwością jak ich koledzy i koleżanki na przełomie sierpnia i września, wykonujący w ciągu dnia po kilka kursów), zapewniających odpowiedni spokój w tunelach.

Wszystko to złożyło się na fatalne warunki panujące na dole. Wobec braku właściwej kontroli wchodzących, wobec braku ludzi panujących nad wydarzeniami na dole dochodziło do dantejskich scen. Ludzie niemający dotąd kontaktu z kanałami, z ich ciemnością, smrodem, nieznający przebiegu tras, a przy tym skrajnie wyczerpani fizycznie i psychicznie, szybko wpadali w panikę. Żeby ją pokazać, wystarczy jeden cytat – taki jak ten ze wspomnień Tadeusza Janowskiego „Seredy” z batalionu „Czata 49”. W źródłach podobnych są dziesiątki. Wszystkie równie nieprawdopodobne:

Wyobraziłem sobie, że kiedyś wyciągną mnie z tych górien i moja żona i dziecko będą to oglądały. Przyszła mi na myśl córka – „ratuj się!” Zacząłem wycofywać się w kierunku z powrotem na Mokotów. Szedłem powoli, czułem pod nogami ciała ludzkie, broń. Podszedł do mnie kolega i powiedział: – „Tadeusz, Tadeusz, ja tylko wypiję herbatę i kładę się do łóżka”. Ludzie strzelali do siebie, w obłędzie odbierali sobie życie. Po strzałach mogłem sądzić, że kilka osób popełniło wtedy samobójstwo, może pięć, sześć. Nie mogli już wytrzymać, mimo że tyle przeszli w Powstaniu. Nie widziało się już ratunku dla siebie. To był okropny moment, psychoza, koszmar. Ja wycofałem się jakieś 300–400 metrów, nie wiem zresztą ile, i położyłem się, półstojąc, na ścianie kanału. Ile czasu tak leżałem – nie wiem. Czas mi się zatracił. Znalazłem w kieszeni panterki dwie kostki cukru. Zacząłem je powoli ssać i usnąłem. Znowu nie wiem, jak długo spałem (Kobos 1994, s. 84–85).

Na co dzień ludziom trudno mówić o emocjach. Wiele osób uczy się tego latami. Jeszcze trudniejsze wydaje się pisanie o nich z perspektywy lat. Najtrudniejsze zaś jest wyciąganie wniosków na podstawie tego, co historyk znajduje we wspomnieniach czy pamiętnikach. Sonke Neitzel i Harald Welzer piszą o czterech warstwach systemów odniesienia, czyli „matryc porządkujących i organizujących schematów interpretacyjnych”. Ostatni, czwarty, poziom to w ich ujęciu „każdorazowo szczególne właściwości, sposoby percepcji, wzorce

interpretacji, zobowiązania itp., które dana osoba wnosi do jakiejś sytuacji. Na tej płaszczyźnie chodzi o psychologię, o predyspozycje osobiste oraz o kwestię indywidualnego podejmowania decyzji” (Neitzel, Welzer 2014, s. 18).

To zdecydowanie najtrudniejszy do uchwycenia ze wszystkich systemów odniesienia, często nawet dla samych badanych. Emocje zdecydowanie kwalifikują się do niego. Jako wytwór chwili nawet w momencie zapisywania ich w pisany na bieżąco dzienniku mogą tracić na wyrazistości albo przeciwnie – nabierać nadmiernego znaczenia. A co dopiero, jeśli mówimy o wspomnieniach pisanych po latach, gdy te emocje są już wielokrotnie przepracowane, przemyślane, obrosłe latami myślenia o nich, później zdobywaną wiedzą.

Być może nauka nigdy już nie posiada umiejętności badania emocji z perspektywy historycznej. Być może już zawsze będziemy skazani na domysły, przypuszczenia i doszukiwanie się odpowiedzi, których nie ma. Ale jednocześnie emocje są tak integralną częścią życia człowieka (Damasio 2011, s. 31–32), w tak znaczącym stopniu wpływają na nasze decyzje, że nieuwzględnienie ich w badaniach wydaje się jeśli nie błędem, to świadomym pozbawianiem się istotnej perspektywy na przeszłość. Odwołując się do badań Antonia Damasia, można nawet powiedzieć, że przy pomijaniu emocji podmiotów badań nasza wiedza o historii, tak jak osoba niezdolna do odczuwania emocji, będzie w jakimś stopniu upośledzona. Dopóki jednak nie nauczymy się opowiadać o tym z pełnym przekonaniem, trzeba pamiętać, jak kruche są podstawy, na których opierają się teksty takie jak ten – pełne pytań i wątpliwości, a pozbawione jednoznacznych odpowiedzi. Tak jak niejednoznaczne bywają same emocje.

Bibliografia

- Damasio A. (2011), *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, tłum. M. Karpiński, Poznań.
- Gustaw (b.d.), *Archiwum Akt Nowych, Akta Jana Mazurkiewicza, sygn. 69, „Ostatnie nasze dni na Starym Mieście (walki oddziałów osłonowych »Gustawa«)”*.
- Górecki R. (1977), *Przemoczone pod plecakiem osiemnaście lat*, Warszawa.
- Imbir K. (2012), *Odmiennosc emocji automatycznych i refleksyjnych. Poszukiwanie różnicowania neurobiologicznego i psychologicznego*, Warszawa.
- Jakubowska A., Bukalska P. (2018), *Szkło pod powieką*, Warszawa.
- Jankowski S. (2019), *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, Warszawa.
- Kaczyńska D. (1993), *Dziewczęta z Parasola*, Warszawa.
- Kobos A. (1994), *Kanały w Powstaniu Warszawskim, „Zeszyty Historyczne”, nr 109*.
- Lear J. (2013), *Nadzieja radykalna. Etyka w obliczu spustoszenia kulturowego*, tłum. M. Rychter, Warszawa.
- Łucka I., Nowak P. (2014), *Włosy babci – trauma transgeneracyjna, „Psychiatria i Psychologia Kliniczna”, nr 14 (2)*.
- Neitzel S., Welzer H. (2014), *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*, tłum. V. Grotowicz, Warszawa.
- Ostrowska E. (1984), *W Alejach spacerują „Tygrysy”. Sierpień–wrzesień 1994*, Szczecin.

Podlewski S. (1957), *Przemarsz przez piekło*, Warszawa.
Połkowski J. (2008), *Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego*, relacja Janusza Połkowskiego spisana przez Iwonę Brandt 7 marca 2008.
Rosenwein B.H. (2015), *Obawy o emocje w historii*, „Teksty Drugie”, nr 1.
Rumianek A. (2010), *Batalion „Bończa”. Relacje z walk w Powstaniu Warszawskim na Starówce, Powiślu i Śródmieściu*, Gdańsk.
Sheybał K. (b.d.), AAN, Akta Anny Wyganowskiej-Eriksson, sygn. 4, „Służba w kanałach”.
Welzer H. (2010), *Wojny klimatyczne. Za co będziemy zabijać w XXI wieku*, tłum. M. Sutowski, Warszawa.
Zawodny J.K. (1994), *Uczestnicy i świadkowie Powstania Warszawskiego. Wywiady*, Warszawa.
Ziółkowski J., Frejłak H. (2017), *Holas: W głowach Polaków trwa wojna*, magazynkontakt.pl, wywiad z Pawłem Holasem z 4 grudnia 2017.
Żeromska M. (1994), *Wspomnień ciąg dalszy*, Warszawa.

Korekta językowa: Beata Bińko

Przemoc seksualna w czasie drugiej wojny światowej

Realizacja wideo
dr hab. Piotr WITEK

Współpraca
Andrzej Włoch



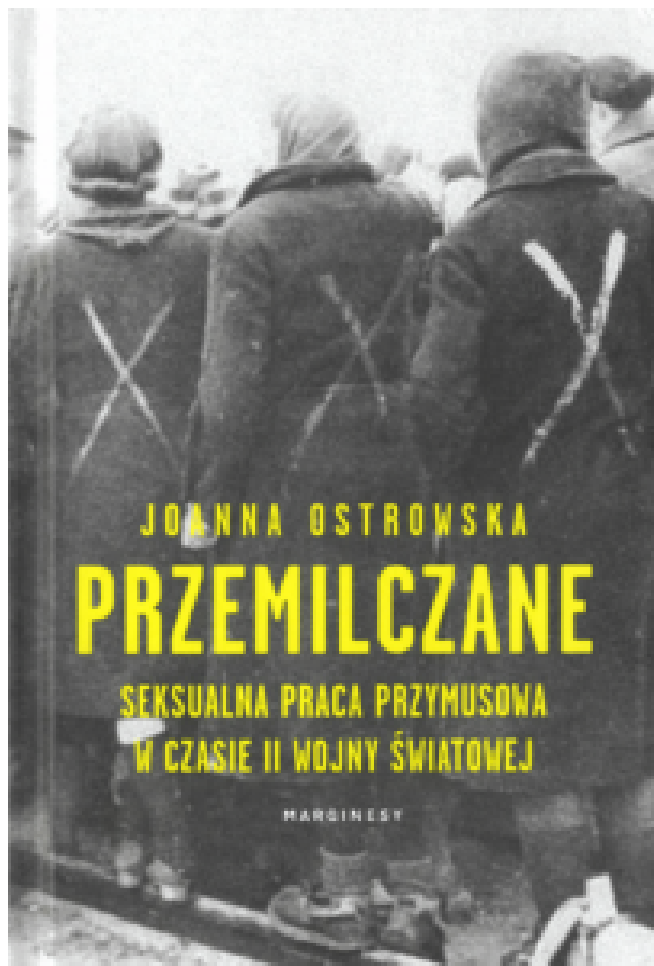
Relacja wideo ze

spotkania poświęconego książce Joanny Ostrowskiej pt. „Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej”. Jest ona pierwszą publikacją w Polsce podejmującą zagadnienie przymusowych pracownic seksualnych w czasie II wojny światowej. Dotychczas fakt istnienia domów publicznych nie tylko dla SS-manów czy oficerów Wehrmachtu, ale także dla robotników przymusowych i więźniów obozów był tabuizowany. W istocie była to kolejna odsłona przemocy niemieckich nazistowskich władz okupacyjnych wobec kobiet na podbitych obszarach.

Wnikliwe studium historyczne pokazuje zorganizowaną, zbiurokratyzowaną maszynę wykorzystania seksualnego kobiet jako formy kontroli seksualności i przymusowej pracy.

O książce
dyskutują:
dr Joanna Hytrek-
Hryciuk (IPN
O/Wrocław)
prof. UŁ Jolanta
Kolbuszewska (UŁ)
dr Joanna Ostrowska
(Gender Studies UW)
Prowadzenie: dr Ewa
Solska (UMCS)

**„Tam był dom publiczny z
najpiękniejszych dziewcząt wybrany”...**



JOANNA HYTREK-HRYCIUK

„Tam był dom publiczny z najpiękniejszych dziewcząt wybrany”...

Joanna Ostrowska, *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej*, Marginesy, Warszawa 2018, ss. 461.

„Władysławie, Zofii i Grażynie”. Dedykacja zamieszczona w książce Joanny Ostrowskiej mówi właściwie wszystko. Bohaterkami jej publikacji są wszystkie milczące Władysławy, Zofie i Grażyny, które latami tłumiły traumę wynikającą z ich wojennych przeżyć.

Były przymusowymi pracownicami. Pracownicami domów publicznych dla żołnierzy Wehrmachtu, obozowych puffów, miejsc takich jak płaszowski „wesoły domek” czy „Leśna Kawiarnia” – burdelu dla służby pomocniczej SS zlokalizowanego przy poligonie w Pustkowie. Tłem dla ich historii nie są militarne sukcesy na frontach czy błyskotliwe plany nierealnych natarć, ale przemoc, głód, choroby, pokątne aborcje, wreszcie śmierć lub podejmowanie rozmaitych działań z chęci przeżycia za wszelką cenę.

W oknie, za nieco uchyloną firanką...

Przedstawiona przez Joannę Ostrowską publikacja to uaktualniona wersja rozprawy doktorskiej, którą obroniła kilka lat temu na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na czytelniku robi więc wrażenie nie tylko obszerna baza źródłowa, lecz także niezwykle rzetelny aparat naukowy. Badaczka wykonała prawdziwie benedyktyńską pracę, przeszukując archiwa zarówno polskie, jak i niemieckie. Wśród tych pierwszych znalazły się niemal

wszystkie archiwa państwowe wraz z ich oddziałami terenowymi. Ostrowska korzystała również z materiałów archiwalnych znajdujących się w zasobie Instytutu Pamięci Narodowej. Tam jako źródła posłużyły jej mniej kojarzone z IPN materiały m.in. Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – materiał o charakterze sądowym. Intrygujące jest również wykorzystanie archiwów oraz indywidualnych relacji sióstr klawerianek z domu w Krośnie. Archiwalia domów zakonnych są zwykle trudno dostępne dla świeckich badaczy historii społecznej.

Jak zaznacza sama Ostrowska, historie, które kryją się za jej książką, udało się jej odtworzyć w wyniku żmudnego brnięcia przez tysiące dokumentów. Niekiedy rezultatem tych poszukiwań były dwa, trzy zdania lub odkrycie notatki wykonanej przez kogoś na marginesie. W innych pełniejsza, wcześniej nieznaną dokumentacją, tak jak odnaleziona w Archiwum Muzeum Auschwitz-Birkenau spuścizna Hansa Münicha, lekarza z podobozu w Rajsku, autora m.in. raportu opisującego funkcjonowanie puffów w Auschwitz. Dzięki poszukiwaniom Ostrowskiej dokument ten będzie mógł zaistnieć szerzej w obiegu naukowym. Na docenienie zasługuje również ogromna liczba przejranych publikacji fachowych, nie tylko tych mających charakter historyczny, lecz także socjologicznych czy interdyscyplinarnych.

Rozczaruje się jednak ten, kto na podstawie moich uwag o solidnej podstawie archiwalnej i bibliograficznej liczy na łatwą w odbiorze klasyczną narrację przyczynowo-skutkową. Brak jednolitego aparatu źródłowego wpłynął bowiem niewątpliwie na przyjętą metodologię, co szczegółowo zostało przez Ostrowską wyjaśnione we wstępie: „Obraz wojennej przemocy seksualnej tworzą pojedyncze ślady, a próba ich ułożenia przypomina rekonstrukcję potłuczonej mozaiki pełnej luk i niespójności [...]. Budowanie tej historii było śledztwem z małą ilością poszlak [...]”. Autorka analizuje głównie mikrobiografie bohaterek i właśnie to ujęcie metodologiczne stanowi klucz do opracowania tej problematyki. Niczym puzzle składa losy kobiet, pokazując całą gamę dramatu, jak wiązał się z przymusową pracą seksualną w czasie wojny. Nawet bezpośrednio po jej zakończeniu temat zmuszania kobiet do nierządu lub (bardziej ogólnie) zseksualizowanej przemocy pojawiał się w oficjalnych dokumentach, wspomnieniach czy relacjach niezwykle rzadko. Z biegiem czasu zanikł w ogóle. Istnienie od jesieni 1943 r. domu publicznego w bloku 10. w KL Auschwitz III czy 24a w obozie macierzystym niestosownie kolidowało z opisami życia czy raczej śmierci, codziennej w nazistowskim piekle na ziemi. „Chętnych zawsze było sporo”, cytuje jednego z polskich więźniów Ostrowska. Obraz, jaki wyłania się po lekturze książki, okazuje się równie złożony. Jak ocenia sama autorka, „ani dobry, ani zły”. Z pewnością jednak jest niepełny, na co wpływ mają lata milczenia świadków i scharakteryzowany wyżej materiał archiwalny. Powojenna historiografia wypracowała ponadto obraz „lepszej” więźniarki, prawdziwej Polki katoliczki o niezłomnym morale. Obraz taki znamy chociażby ze wspomnień Karoliny Lanckorońskiej czy Zofii Kossak-Szczuckiej. Wizerunek ten utrwalił się mimo zarzutów Tadeusza Borowskiego, że jest zwyczajnie kłamliwy (*Alicja w krainie czarów*, „Pokolenie” 1947, nr 1). Zresztą sam Borowski również wspomina w swoim tekście o praktyce „kupowania kobiet i mężczyzn”.

Zrekonstruowane mikrobiografie – cienie, które u Ostrowskiej pojawiają się

pod zmienionymi nazwiskami – prowadzą czytelnika przez zagadnienia zarówno zorganizowanych gwałtów wojennych, jak i indywidualnych aktów brutalności. Autorka pokazuje mechanizm niewolnictwa seksualnego oraz kontroli seksualności. Z jednostkowych biografii wyłania się cały wachlarz przeżyć i zachowań. Badaczka analizuje je niezwykle drobiazgowo. W jednym przypadku, Anny Bukar, pracownicy seksualnej domu publicznego dla nieniemieckich członków SS, relację przytacza niemal w całości ze względu na jej unikatowy charakter. Anna pracowała jako prostytutka w okupowanym Krakowie, co wymuszało regularne wykonywanie przez nią badań potwierdzających, że nie zapadła na żadną chorobę weneryczną. Po jednej z wizyt u lekarza została zatrzymana i przewieziona do „wesołego domku” – domu publicznego na terenie obozu w Płaszowie. Zeznając już po wojnie przed sędzią Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie, szczegółowo opisywała warunki pracy w burdelu, obowiązujący cennik, zachowania klientów przybytku, a także to, o czym nie wspominają inne świadkinie: przemoc, upokarzanie oraz dręczenie fizyczne i psychiczne: „Nieraz dopiero interwencja esesowców pilnujących porządku w burdelu ratowała nas przed bestialstwem pijanych »czarnych«” – cytuje Annę badaczka. Ostrowska dokumentuje również dramat takich osób jak Maria, która zgłosiła się do domu publicznego w KL Auschwitz, gdyż obiecano jej w zamian wolność, i takich jak więźniarki FKL Ravensbrück, które zdecydowały się same wymierzyć sprawiedliwość koleżance pracującej w obozowym burdelu. Zarazem jednak przytacza opowieść przedwojennej prostytutki, która podjęła się prowadzenia domu publicznego dla Niemców, ponieważ inaczej umarłaby z głodu.

Choć mikrobiografie są pojedynczymi źródłami, poraża skala całego przedsięwzięcia, oszacowana na podstawie materiałów archiwalnych. Powszechność zjawiska przymusowej pracy seksualnej pokazuje analiza poszczególnych regionów okupowanej Polski, w której wyraźnie akcentowane są różnice i podobieństwa. Te ostatnie zdecydowanie przeważają. Z opracowania płynnie również wniosek, że polityka seksualna w czasie II wojny światowej miała niezwykle istotne znaczenie i w żadnym razie nie rządził nią przypadek. Z jednej strony była to polityka ograniczania ludzkiej seksualności, z drugiej zaś całkowitej kontroli nad nią.

Na znak milczenia

Autorka podzieliła swoją pracę na kilka głównych wątków, co ma odzwierciedlenie w układzie książki. Badaczka zaczyna analizę od przedstawienia idei wykorzystania seksualności jako narzędzia w konflikcie zbrojnym.

Jako jedną część można potraktować rozdziały „Wojna” i „Obozy”. Zawierają one przede wszystkim analizę systemu przymusowego nierządu w okupowanych miastach oraz w obozach koncentracyjnych. Temat seksualnej pracy przymusowej nie kończy się w maju 1945 r., wraz z zakończeniem działań wojennych. Powojenny etap rozliczeń albo przynajmniej próbę zmierzenia się z tematem autorka przedstawia w rozdziale „Powojnie”. Całość spinają rozdziały dotyczące powojnia oraz związane z nimi pojęcia „tabu” i „stygmatyzacja”, które również szeroko interpretuje.

„Po stronie polskiej była Kryśka z Warszawy. Bardzo ładna. Spotkałem ją po

wojnie w Warszawie w 1952 albo 1953 r. w tramwaju. Poznałem ją i ona też mnie poznała. Ja się ukloniłem. Ona przyłożyła palec do ust. Także już wiedziałem, że nie należy się zbliżyć”. Relacja Wilhelma Brassego uwypukla istotny element w biografiach bohaterek książki. Wstyd ofiar, chęć wyparcia dramatycznych przeżyć oraz oficjalna historiografia akcentująca „cierpienie i śmierć w imię wyższej sprawy” spowodowały, że przymusowe pracownice seksualne przestały mówić o swoich cierpieniach. Przestały, ponieważ jak wspomniałam, zaraz po wojnie temat ten był przedmiotem zainteresowania wymiaru sprawiedliwości, a także pojawiał się w literaturze obozowej. Kolejną kwestią był strach przed posądzeniem o kolaborację z Niemcami. Doświadczyły takiego losu pracownice jednego z poznańskich domów publicznych. Oskarżona w procesie toczącym się przed sądem w Poznaniu burdelmama została całkowicie oczyszczona z zarzutów. W trakcie procesu sąd uznał jednak, że pracujące tam kobiety, które w czasie kilkumiesięcznego procesu zeznawały o przemoc i biciu, jakich dopuszczała się wobec nich ich opiekunka, a także o strachu przed Niemcami, są „elementem społecznym” i wręcz skorzystały na funkcjonowaniu przybytku.

Umiejętnie przedstawiony przez Ostrowską zamknięty krąg zdarzeń został dodatkowo wzmocniony przez lata tabuizacji i narastania mitów. Niestety wydaje się, że taki mit buduje, być może niechcący, również sama autorka. Ostrowska pisze bowiem w podsumowaniu, że nadal ignorujemy i nie chcemy słyszeć relacji ofiar przemocy seksualnej.

Badania nad intymnością wchodzą w szerszy nurt historii społecznej i historii codzienności, która dopiero od niedawna cieszy się zainteresowaniem badaczy i bezsprzecznie ma to związek z coraz większą w Polsce popularnością metodologii opracowanej w ramach *gender studies*.

Nie tylko książka Joanny Ostrowskiej (badaczka jest autorką co najmniej kilku publikacji na ten temat), lecz także takie prace, jak *Kriegs Beziehungen. Intimität, Gewalt und Prostitution im besetzten Polen 1939–1945* autorstwa Maren Röger (2015), wydane w 2016 r. wspomnienia Heinza Hegera (*Mężczyźni z różowym trójkątem*) czy też książka piszącej te słowa, omawiająca przemoc seksualną wobec niemieckich mieszkanki Dolnego Śląska z perspektywy mikrohistorycznej, świadczą o tym, że do głosu dochodzi nowe pokolenie badaczy, które stawia nowe pytania badawcze, a ich nowatorskie ujęcia wnoszą istotny wkład we współczesną historiografię.

[Jak popularyzować wiedzę o Zagładzie?](#)



PIOTR WITEK

Jak popularyzować wiedzę o Zagładzie?

Kilka uwag na marginesie książki

Dariusza Libionki *Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie* (Lublin 2017)

Monografia *Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie* jest dziełem znanego specjalisty w dziedzinie badań nad Zagładą – Dariusza Libionki. W założeniu autora jest to praca popularnonaukowa, mająca na celu upowszechnienie wiedzy o przebiegu Zagłady w Generalnym Gubernatorstwie.

Praca Dariusza Libionki została skonstruowana w sposób, który prowokuje do zadania dwóch zasadniczych pytań:

(1) Do kogo jest adresowana monografia? (2) Jaki jest cel książki?

Autor na postawione wyżej pytania w tekście odpowiada w sposób następujący:

(1) Do czytelników niebędących badaczami tematu Zagłady. (2) Celem publikacji było przedstawienie w uporządkowany sposób faktografii w zakresie wiedzy o Holokauście w Generalnym Gubernatorstwie.

Odpowiedzi autora na pierwszy rzut oka wydają się oczywiste, ale gdy przyjrzymy się im bliżej w kontekście całości tekstu, jawią się jako nie do

końca przekonujące.

Konstrukcja tomu oparta na chronologiczno-problemowym układzie narracji jest przejrzysta. Punktem wyjścia refleksji autora jest przedstawienie ideologii nazistowskiej, w której obrębie powstały plan eksterminacji ludności żydowskiej oraz strategię i techniki jej realizacji w praktyce. Dalsze partie książki przedstawiają chronologicznie kolejne etapy eksterminacji w poszczególnych dystryktach, gettach, obozach zagłady.

W publikacji mamy do czynienia z typową dla historiografii klasycznej narracją deskryptywną i zdarzeniową, koncentrującą się na przedstawianiu i opisie faktów. Ze względu na popularnonaukowy charakter pracy narracja została skomponowana w taki sposób, że nie przytłacza natłokiem informacji, szczegółowych opisów wydarzeń, danych statystycznych, geograficznych, nazwisk, nazw własnych itp. Autor ukazuje poszczególne etapy eksterminacji, podając dane faktograficzne, które uznaje za najważniejsze. Chodzi mu o uchwycenie i ukazanie syntetycznego obrazu zjawiska Zagłady na terytorium Generalnego Gubernatorstwa. Chcąc zabezpieczyć się przed ewentualnym zarzutem przeładowania opowieści danymi faktograficznymi, pisze usprawiedliwiająco o demonie statystyki, którego czasem nie można uniknąć.

Narracja ma charakter sprawozdawczy, można nawet powiedzieć protokołarny. Podczas lektury nie jest trudno odnieść wrażenie, że autor starał się przedstawić wydarzenia w sposób maksymalnie zdystansowany, na chłodno, uzyskać efekt opowieści obiektywizującej, niejako mechanicznego opisu. Świadczą o tym używane bardzo często przez autora zwroty: powołano radę, utworzono obóz, przeprowadzono akcję likwidacyjną. Dariusz Libionka jako autor w narracji pojawia się rzadko, tylko kiedy pisze: „wspominałem wcześniej”, „zajmowałem się tym wcześniej”, „będę pisał o tym dalej”. W tekście widać inspirację pracami Raula Hilberga, historyka Zagłady, który konstruuje swoje narracje właśnie w taki sposób, by sprawiały wrażenie chłodnych, pozbawionych emocji, obiektywnych, niemal mechanicznych opisów rzeczywistości historycznej. Ten typ pisarstwa o Zagładzie stanowi dominujący model dla historiografii Holokaustu. Znamienna jest w tym kontekście opinia Berela Langa, amerykańskiego filozofa i etyka Zagłady, który w swoich pracach postuluje unikanie metafor w pisaniu o Holokauście i posługiwanie się językiem protokołarnym ze względu na naturę opisywanych wydarzeń.

W tym miejscu pojawia się metodologiczne pytanie, czy rzeczywiście można wyróżnić wydarzenia, które ze względu na swoją naturę wymuszają pisanie o nich w konwencji zdań protokołarnych. Moim zdaniem nie. Nie istnieje jakiś jeden językowy kod, który pozwalałby opisać dane wydarzenia w jedyny adekwatny sposób. Posługiwanie się różnymi językami do opisu przeszłości, w tym faktów, pozwala uchwycić i ukazać rozmaite jej aspekty ujawniane właśnie przez różne języki – metafory i sieci ich semantycznych implikacji. Nawiązuję tu do teorii narracji historycznej Haydena White'a i gramatyki kognitywnej Marka Johnsona i George'a Lakoffa.

O ile sposób pisania o Zagładzie uprawiany przez Hilberga i postulowany przez Langa przyjął się w dyskursie naukowym, o tyle mam pewne wątpliwości, czy w pracach popularnonaukowych jest on użyteczny i funkcjonalny. Moją wątpliwość można wyrazić w pytaniu, czy język typowy dla konkretnego dyskursu naukowego,

w tym wypadku protokolarny język odnoszący się w mocny sposób głównie do ontologii, służący do konstruowania naukowego obrazu przeszłości, jest dobrym narzędziem popularyzacji tegoż obrazu. Czy prace popularnonaukowe o Zagładzie muszą być pisane zgodnie z etykietą obowiązującą naukową historiografię? Czy przypadkiem w publikacjach o charakterze popularnonaukowym nie powinniśmy dokonywać przekładu języka typowego dla dyskursu naukowego na język bardziej przyjazny czytelnikowi, mniej protokolarny i sprawozdawczy, a bardziej zaangażowany, empatyczny, literacki, nawiązujący nie tylko do ontologii, lecz także do etyki i estetyki? Taki nacechowany metaforycznie język z pewnością bardziej przemówiłby do wyobraźni czytelników, pozwolił poczuć grozę tragicznych wydarzeń, wyzwoliłby poczucie empatii wobec ofiar, zmotywował do autorefleksji, podpowiadał tropy owej autorefleksji...

Książka Dariusza Libionki została napisana językiem dyskursu naukowego, co z pewnością zadowoli czytelników obeznanych z tematem i przyzwyczajonych do takiego sposobu pisania o Zagładzie. Będzie jednak dla nich ze względu na treść za mało naukowa. Dla czytelników niebędących znawcami tematu książka z powodu protokolarnego stylu narracji może się wydać za mało popularna i zbyt naukowa.

W związku z powyższym nasuwają się następujące pytania: Kto może być adresatem książki Dariusza Libionki? Czy autor zrealizował postawiony sobie cel?

Wydaje się, że znawcom tematu faktów porządkować nie trzeba. Dla osób niebędących zawodowymi historykami uporządkowanie faktografii jest jak najbardziej potrzebne. Ale czy sposób, w jaki zrobił to autor, nie będzie dla nich zbyt nużący ze względu na charakter użytego do konstrukcji narracji protokolarnego języka?

Monografia Dariusza Libionki motywuje zatem do refleksji nad tym, jak popularyzować wiedzę o Zagładzie. Czy popularyzacja ma polegać tylko na tym, by prezentować odchudzony pakiet faktów i danych? Jeśli tak, to w jakiej formie?

Wyobraźmy sobie, że fakty ukazane przez autora zostałyby przedstawione za pomocą infografik, wykresów, tabel, opisów i zdjęć. Taka formuła objętościowo zajęłaby kilkadziesiąt stron. Czy nie byłaby bardziej atrakcyjna dla laików i nie przemawiała skuteczniej do ich świadomości?

Spójrzmy na problem upowszechniania wiedzy o Holokauście jeszcze z innej perspektywy. Czy oprócz faktografii nie powinniśmy skupiać się na popularyzacji innych obszarów wiedzy o Zagładzie? Na przykład na życiu codziennym w obozach, w gettach, na ludziach ujmowanych jako podmioty historii, a nie statystyczne dane, fakty, liczby..., na relacjach międzyludzkich, ich emocjach, światopoglądzie, respektowanych wartościach, motywacjach.

Czy prace popularyzujące wiedzę o Zagładzie nie powinny umożliwiać laikom lepszego zrozumienia tego, co się wydarzyło? Jeśli na postawione pytanie odpowiemy twierdząco, to w dalszej kolejności należy przemyśleć, jak to zrobić. Jeżeli zgodzimy się, że zobiektywizowana, deskryptywna narracja

faktograficzna nie do końca ułatwia zrozumienie przeciętnemu czytelnikowi czym była Zagłada, być może warto się zastanowić nad rezygnacją z niej na rzecz narracji jawnie odautorskiej, posiłkującej się wiedzą z zakresu filozofii, socjologii, antropologii, psychologii, etyki, estetyki i przełożonej na język zrozumiały dla zwykłego odbiorcy prac historycznych. Być może w pracach popularyzujących wiedzę o Holokauście powinna mocniej zaznaczać się obecność autora/narratora pełniącego funkcję tłumacza przeszłości dla współczesnych, historyka, który mówi do czytelnika: badałem ten problem, czytałem te źródła, oglądałem te fotografie, rozmawiałem z tymi ludźmi, towarzyszyły mi takie emocje..., który opowiada, jak starał się zrozumieć koszmar Zagłady – co i jak pozwalało mu tę zbrodnię rozumieć. Być może dla efektywności upowszechniania wiedzy o Zagładzie lepiej byłoby, gdyby historyk zrezygnował z funkcji chłodnego eksperta badacza i wszedł w rolę rozumiejącego, empatycznego eksperta przewodnika po zawiłościach traumatycznego zjawiska, jakim był Holokaust.

Korekta językowa: Beata Bińko

Literatura

- Raul Hilberg, *Zagłada Żydów Europejskich*, tłum. Jerzy Giebułtowski, red. wydania polskiego Dariusz Libionka, patronat naukowy Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN, wyd. Piotr Stefaniuk, Warszawa 2018.
- George Lakoff, Mark Johnson, *Metafory w naszym życiu*, tłum. Tomasz P. Krzeszowski, Fundacja Aletheia, Warszawa 2010.
- Berel Lang, *Nazistowskie ludobójstwo. Akt i idea*, tłum. Anna Ziębińska-Witek, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2006.
- Hayden White, *The Content of the Form. Narrative Discourse and Historical Representation*, Baltimore – London, 1987.
- Hayden White, *Metahistory. The Historical Imagination in Nineteenth-Century Europe*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore–London 1975.
- Hayden White, *Poetyka pisarstwa historycznego*, tłum. zbiorowe, red. Ewa Domańska i Marek Wilczyński, Universitas, Kraków 2000.
- Hayden White, *Proza historyczna*, tłum. zbiorowe, red. Ewa Domańska, Universitas, Kraków 2009.
- Anna Ziębińska-Witek, *Holocaust. Problemy przedstawiania*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2005.

[Podziemie – czyli o ratowaniu wolności](#)



SEBASTIAN PAWLINA

Podziemie – czyli o ratowaniu wolności

Jak tysiące podobnych mu wojennych tułaczy Stefan Korboński po przegranym wrześniu 1939 r. wrócił do Warszawy. Była połowa października. Widok, który zastał, biegunowo odbiegał od tego zapamiętanego. „Miasto jak gdyby w żałobie – pisał. – Przez gęsty welon kurzu ledwie widać jego rysy tak dla mnie zawsze miłe. Ani śladu dawnej elegancji i wesołości. Wszystko poszarzało – tu i tam zwalone przez bomby kamienice zwracają uwagę jak dziury w ubraniu. Okaleczone domy, o czarnych, pustych framugach okien, stoją jak rzędy ślepców. I wszędzie masa potłuczonego szkła, tej pierwszej ofiary wojny” (Korboński 2005, s. 9).

Zacytowana relacja nie jest wyjątkiem w literaturze wspomnieniowej. Bez względu na to, czy ktoś opuszczał miasto przed 1 września, czy był w nim przez cały czas trwania oblężenia, o stopniu zniszczeń mniej lub bardziej obszernie pisał chyba każdy, kto zostawił zapiski odnoszące się do pierwszych tygodni po kapitulacji – bo i dla każdego były one szokiem. Powoli jednak przyzwyczajano się do widoku zburzonych i wypalonych domów. Tak samo z czasem zaczęto oswajać samą okupację. Jednym zajęło to tygodnie, innym całe miesiące – w końcu jednak ludzie wypracowywali sobie różne strategie przetrwania.

Według Jerzego Kochanowskiego strategie przetrwania polskiego społeczeństwa okresu okupacji nie zostały dotąd opisane w sposób wystarczająco obszerny (Kochanowski 2016, s. 91, 104-105). W krótkim zarysie problemu wskazał kilka najważniejszych, w tym m.in. te polegające na szukaniu stałego zatrudnienia czy bazujące na działaniach krótkofalowych. Gdzieś pomiędzy tymi modelami moglibyśmy umieścić jeszcze jeden, być może nieoczywisty – konspirację.

Obowiązek, zemsta i tradycja

Kiedy w 1981 r. Stefan Korboński na łamach paryskich „Zeszytów Historycznych” pisał recenzję pracy Jana Tomasza Grossa *Polish society under German occupation* (Princeton University Press 1979), zauważył m.in., że pobudki, którymi kierowali się ludzie wstępujący do podziemia ocenia autor z punktu widzenia „materialistycznej» interpretacji motywów ludzkiego postępowania i sprowadza wszystko do korzyści i pieniędzy” (Korboński 1981, s. 179), dodając z ironią, że miłość do ojczyzny, chęć walki z wrogiem i patriotyzm okazały się być zbyt pospolitymi dla profesora socjologii. Tymczasem, jak to zazwyczaj bywa w takich sytuacjach, prawda leży mniej więcej pośrodku. Już sam Jan Karski, którego nie da się posądzić o „materialistyczną interpretację”, pisał, że „członek zbrojnego Podziemia, pomijając to, że mógł wpaść i narażał się na to wszystko, co wiązało się ze schwytaniem przez gestapo, korzystał z przywilejów nieosiągalnych dla reszty ludności polskiej” (Karski 2014, s. 82). Zanim jednak z tych przywilejów można było skorzystać, choć też nie dla wszystkich były one dostępne, trzeba było wejść do tego podziemia. A żeby to zrobić, najpierw należało tego zwyczajnie chcieć.

Katalogu motywów, którymi kierowali się chętni do pracy w konspiracji, nie da się ograniczyć do kilku prostych haseł. Decyzje niejednokrotnie dojrzewały w ludziach długimi miesiącami, a na tę ostateczną mógł się składać cały szereg wydarzeń i przemyśleń. Wymieńmy więc te najczęściej spotykane w źródłach motywy: (1) kontynuacja walki rozpoczętej 1 września 1939 r.; (2) poczucie odpowiedzialności za kraj; (3) nienawiść do okupanta, pragnienie zemsty; (4) funkcjonowanie w środowisku związanym z konspiracją, tradycje rodzinne. Świadomie pominęliśmy tu patriotyzm, uznając go za element składowy każdego z tych czterech punktów.

Jest jednak coś jeszcze – coś, co trudno wskazać jako konkretny motyw, a bardziej jako być może nie zawsze uświadomioną potrzebę, którą Stanisław Likiernik „Stach”, żołnierz Oddziału Dyspozycyjnego „A” Kedywu Okręgu Warszawskiego, określa jako „coś, co zmieniało człowieka ze szczutej zwierzyny w stronę walczącą, co »czyniło człowiekiem«” (Likiernik 26.07.1971, s. 2). Ponieważ uznajemy to za być może najważniejszą ze wskazanych pobudek, pozwalającą najpełniej zrozumieć podziemie jako zjawisko, na razie odsuniemy ją na bok i zajmiemy się czterema pierwszymi. Dla zachowania spójności wyводу ograniczymy się do Warszawy i Armii Krajowej, zdając sobie jednocześnie sprawę, że sięgnięcie do historii członków innych organizacji, na innych terenach, mogłoby przynieść nam odmienne wnioski.

Punkt pierwszy wydaje się być najbardziej oczywisty. Wiele osób nie chciało przyjąć do wiadomości klęski wrześniowej, zdjęcie zaś munduru nie równało się dla nich zdjęciu z nich obowiązku dochowania wierności złożonej przysiędze. Tak rozpoczęli swoją organizacyjną pracę: Antoni Bieniaszewski „Antek”, Michał Bylina „Michał” i Zbigniew Lewandowski „Szyna”, wszyscy trzej związani w pewnym momencie z Kedywem OW. Ten ostatni, opisując moment, w którym przyjęto go do konspiracji (listopad 1939 r.), wspominał, że kiedy poproszono go o złożenie przysięgi, „doszło do małej kontrowersji – odparłem bowiem, że jako oficer służby czynnej składałem już przysięgę i nie czuję się z niej zwolniony” (Lewandowski 1985, s. 56). Niekiedy początki „kariery spiskowca” wiązały się z otrzymaniem rozkazu. Tak stało się w przypadku powstania Tajnej

Organizacji Wojskowej, do początku 1943 r. współpracującej, a potem włączonej w szeregi AK, na której czele stanął Jan Mazurkiewicz, późniejszy „Radosław”, który 17 września 1939 r. w Stanisławowie otrzymał od wysłannika gen. Wacława Stachiewicza, szefa Sztabu Naczelnego Wodza, rozkaz utworzenia TOW.

Wydaje się, że nie mała część tzw. starych konspiratorów, czyli tych, którzy swoją pracę zaczynali w 1939/1940 r., w dużej mierze kierowała się właśnie przekonaniem, że ich wojna dalej trwa. Całkowitej pewności nie mamy i mieć nie możemy – i to z co najmniej dwóch powodów. Przede wszystkim brakuje nam do tego materiałów źródłowych, przez co skazani jesteśmy na pojedyncze opowieści, a po drugie – trudno oddzielić chęć kontynuowania walki od następnego punktu naszej wyliczanki, czyli odpowiedzialności za ojczyznę. Doskonale widać to na przykładzie kolejnego oficera TOW oraz Kedywu OW, Tadeusza Wiwatowskiego „Olszyny”, żołnierza 4. Dywizjonu Artylerii Ciężkiej we wrześniu 1939 r. Do Warszawy wrócił w październiku, ale już w listopadzie, najprawdopodobniej za sprawą kolegi z lat szkolnych, związał się z TOW. Świeże doświadczenia wojenne niewątpliwie miały więc jeszcze wpływ na niego. Ale nie tylko one. Likiernik, od listopada 1943 r. podwładny Wiwatowskiego w Oddziale Dyspozycyjnym „A”, wspominając po latach swoich kolegów oraz dowódców o „Olszynie” mówił, że „rozumiał całokształt sytuacji i reprezentował podejście wyrozumowane. Czynił to, co czynił z obowiązku Polaka, a nie spontanicznie, odruchowo” (Likiernik 26.07.1971, s. 2).

Jeszcze wyraźniej poczucie obowiązku wobec kraju widać w podejściu Józefa Romana Rybickiego „Andrzeja”, komendanta warszawskiego TOW od czerwca 1941 r. do marca 1943 r., a od listopada 1943 r. szefa Kedywu OW. „Dla Rybickiego udział w walce zbrojnej był spełnieniem obowiązku wobec państwa, które wpadło w niewolę, spłaceniem długu za 20 lat wolności i możliwość pracy w niepodległym kraju”, notował Tomasz Strzembosz, dodając jednocześnie, że w jego ocenie takie podejście mogło nawet dominować u dużej części osób nad uczuciem nienawiści do Niemców (Rybicki 12.05.1977, s. 2).

Wydaje się, że dzisiaj trudno byłoby to udowodnić, tym bardziej, że pragnienie zemsty pojawia się w niemałej części relacji dotyczących okresu okupacji – i to pisanych nie tylko przez konspiratorów. Chęć rewanżu dotyczyła zarówno bezpośrednich krzywd, jak np. śmierć ojca albo przyjaciela, jak i zbrodni, którymi żyło całe społeczeństwo, żeby wspomnieć tylko mordy w Wawrze, Palmirach czy powieszenie 11 lutego 1944 r. dwudziestu siedmiu więźniów Pawiaka na balkonie ruin domu przy ul. Leszno. Co warte podkreślenia wśród relacji ponad pięćdziesięciu byłych żołnierzy Kedywu OW w zaledwie kilku przypadkach jako przykład zbrodni, za którą ktoś chciał się zemścić, podano los Żydów. Wśród tych wyjątków znaleźli się Likiernik oraz Stanisław Aronson – obaj z żydowskimi korzeniami. Motywacja Aronsona jest jednak szczególna, dotyczyła bowiem również straty całej rodziny.

Niezwykle wyraźnie motyw zemsty pojawia się w historii innego żołnierza Oddziału Dyspozycyjnego „A” – Zbigniewa Arta „Romana”, więzionego w Auschwitz w latach 1940-1942. Po wyjściu na wolność spotkał w Warszawie Władysława Bartoszewskiego, którego poprosił o pomoc w znalezieniu kontaktu z konspiracją: „Art chciał zabijać Niemców, to tylko w konspiracji go interesowało, to było jego wielką potrzebą wewnętrzną, dlatego też zależało mu na przydziale do oddziału już walczącego” (Bartoszewski 3.02.1971, s. 1).

Za wszystkim tym stało osiemnaście miesięcy spędzonych w obozie. Z psychologicznego punktu widzenia było to zachowanie całkowicie naturalne. Jak twierdził Józef Pieter, psycholog, stan „trwałego i silnego napięcia lękowego pod wpływem specyficznych sytuacji międzyludzkich” wymaga rozładowania w „odpowiedniej formie i dozie gniewu, wściekłości, żądzy zemsty, nienawiści” (Pieter 1971, s. 101). Wydaje się, że ta obserwacja w pewnym stopniu – w jakim nie wiemy i nie dowiemy się – dotyczyła dużej części polskiego społeczeństwa okresu okupacji.

Jednak tylko niektórzy mieli możliwość odreagowania napięcia w sposób bezpośredni. Wynikało to m.in. z samej natury konspiracji, która dla własnego bezpieczeństwa musi być względnie niewielka. Ci, którym udało się do niej trafić, zazwyczaj zawdzięczali to pomocy znajomych, rodzin – już związanych z organizacją. Bywało jednak i tak, że to nie oni prosili bliskich o pomoc, ale w pewnym stopniu zaczynali swoją pracę za ich namową czy chociażby pod ich wpływem. Niekiedy był to wpływ rodzinnych tradycji, sięgających czy to okresu pierwszej wojny światowej, czy dziewiętnastowiecznych powstań. Od takich wzajemnych inspiracji zaczynały swoją historię m.in. grupa żoliborska Oddziału Dyspozycyjnego „A” oraz mokotowski Oddział Dywersji Bojowej „19” Kedywu OW, składające się w dużym stopniu z grup kolegów z lat szkolnych.

Ten katalog motywów można dowolnie mieszać – w każdej pojedynczej historii jesteśmy bowiem w stanie wskazać wpływ różnych czynników. Nad jednymi ludźmi mieli kontrolę, inne były całkowicie od nich niezależne. W efekcie nie jesteśmy w stanie powiedzieć z całym przekonaniem, że „tak, to właśnie to sprawiło, że wszedł do organizacji”. Możemy jedynie próbować zrozumieć takie zachowanie. I tutaj wracamy do zdania Likiernika o stawaniu się człowiekiem.

Konspiracja jako odruch biologiczny?

Niemiecki filozof i socjolog, Erich Fromm, twierdził, że to, czego człowiek boi się najbardziej, to izolacja. I to nie tyle fizyczna, co przede wszystkim moralna, dlatego też „poczucie związania z najnędniejszym choćby wzorem jest nieporównywalnie lepsze od pozostawania w samotności” (Fromm 2014a, s. 37). Tymczasem w Polsce pod okupacją samotność, tak fizyczna, jak i moralna, stawała się powszechnym zjawiskiem. Atrofia i anomia społeczna, rozpad instytucji, atomizacja czy w końcu po prostu utrata domu i bliskich, zjawiska wielokrotnie opisane przez historyków, socjologów czy psychologów, coraz mocniej wpychały ludzi w poczucie osamotnienia oraz towarzyszące im: lęk, strach oraz stres. W takich warunkach podziemie jawiło się więc jako miejsce, gdzie można otrzymać wsparcie, znaleźć ludzi myślących podobnie.

Stanisław Likiernik wspomina, że „grupa »Stasinka« [grupa żoliborska Oddziału Dyspozycyjnego „A” – S.P.] nie może być traktowana jak regularny oddział wojskowy. Nie był to oddział, a raczej »ferajna« – grupa ludzi pracujących razem, złączonych ze sobą zaufaniem, przyjaźnią, wspólnym celem i wspólną zabawą”. Alicja Pniewska-Sieciechowicz, przesiedlona w czasie wojny z Łodzi do Warszawy, w podziemiu związana z kobiecym oddziałem minerskim Kedywu OW, przyznaje z kolei, że konspiracja stała się dla niej w obcym mieście, wśród obcych ludzi pierwszym punktem zaczepienia (Pniewska-Sieciechowicz, 9.07.2012). Stanisław Jankowski zaś, cichociemny, pracownik Oddziału II KG ZWZ/AK, z organizacyjnego przymusu pozbawiony regularnych kontaktów z rodziną

i przyjaciółmi, pisał, że czuł się bezpieczniej na odprawach i w melinach, niż gdy spotykał przypadkiem na ulicy znajomego. Wojna i okupacja, choć zabrały mu wiele bliskich osób oraz miasto, w którym się wychował, dały mu, właśnie za sprawą konspiracji, „[...] wiarę w ludzi, w ich odwagę, ufność, przyjaźń. Nie zamieniłbym tamtych dni. Najbogatszych dni mojego życia. Wypełnionych prawdziwym człowiekiem” (Jankowski 1980, s. 229).

Podobny obraz podziemia zmniejszającego poczucie osamotnienia jest wspólny dla dużej części żołnierzy nie tylko Kedywu OW, ale całej podziemnej Warszawy, a może nawet Polski – o czym pisał Karski. W towarzystwie innych konspiratorów ludzie czuli się swobodniej, czuli się wolni. Poszukiwanie wolności, jak twierdził Fromm, jest z kolei niczym innym, jak reakcją biologiczną organizmu, dla którego wolność jest warunkiem koniecznym do prawidłowego rozwoju psychicznego. Dla lepszego wyjaśnienia problemu posłużmy się bezpośrednim cytatem: „Przetrwanie człowieka dokonuje się nie tylko na płaszczyźnie fizycznej, lecz również psychicznej. Potrzebna jest mu określona równowaga psychiczna, w przeciwnym bowiem razie traci zdolność funkcjonowania; dla człowieka wszystko co niezbędne jest dla utrzymania równowagi, ma takie samo żywotne znaczenie jak to, co służy fizycznej równowadze jego organizmu” (Fromm 2014b, s. 218).

Żeby móc właściwie funkcjonować, człowiek potrzebuje układu odniesienia, stałych idei i wartości. I podziemie w pewnym stopniu zapewniało to. W momencie rozpadu instytucji, słabnących więzi społecznych i zanikających zasad, którymi wcześniej ludzie mogli się kierować, konspiracja stawała się jedną z niewielu alternatyw. Alternatywą stanowiącą formę obrony przed zagrożeniem dla własnego życia i zdrowia – fizycznego i psychicznego, kiedy organizm, to znowu Fromm, reaguje albo ucieczką, albo agresją obronną. Kto mógł, uciekł z Polski jeszcze w 1939 r. Później było to w zasadzie niemożliwe, chyba że za ucieczkę uznamy próbę unikania wszelkich możliwych zagrożeń. Pozostawała więc obrona – podziemie.

Jest jednak w tym rozumowaniu pewna luka. Jeśli bowiem praca w organizacji miałyby być formą ratunku dla własnej psychiki, to czemu nie związało się z nią więcej osób? Wpływ na taką, a nie inną liczebność podziemia miały oczywiście względy bezpieczeństwa, nie każdego można było przyjąć, ale takie „techniczne” wyjaśnienie zdaje się być niepełne. Niemożliwością bowiem jest, aby wszyscy Polacy chcieli iść do konspiracji. Oczywiście nie potrafimy podać pełnej liczby osób zaangażowanych w działalność podziemia, ta bowiem obejmuje nie tylko osoby zaprzysiężone, ale także te współpracujące okazjonalnie, pomagające zdobyć odpowiednie dokumenty, materiały, oddające swoje mieszkania na meliny. Jednak pewne ogólne szacunki istnieją. Dla samej Warszawy Tomasz Szarota wyliczył to na 180 tys. ludzi (Szarota 1988, s. 544), z czego zaledwie 1/3 miała być zaprzysiężona. Jednak obok tej grupy było jeszcze ok. 30-60 tys. zaliczanych do tzw. „Warszawy haniebniej”, gromadzącej wszelakie męty społeczne, oraz 360-420 tys. osób, które chciały przeżyć. Czym więc kierowały się te osoby? Dlaczego nie związały się z żadną organizacją konspiracyjną? Uniemożliwiał im to strach, chłodna kalkulacja zysków i strat, a może do poczucia się lepiej wystarczała im sama świadomość tego, że jest jakieś podziemie? Wydaje się, że w przypadku tej największej grupy lepiej sprawdza się teoria Pitirima A. Sorokina, przywoływana przez Marcina Zarembę

(Zaremba 2012, s. 97), zgodnie z którą człowiek biedny, poniżony, a takim stała się niemała część polskiego społeczeństwa doby okupacji, skupia się na przetrwaniu. Ale znowu ona nie pasuje do konspiracji, funkcjonującej w takiej samej rzeczywistości – głodnej, chłodnej i pełnej terroru.

Udzielenie odpowiedzi na rodzące się wątpliwości może pomóc w zrozumieniu problemu zajmującego obecnie wielu badaczy, czyli dlaczego więcej Polaków nie udzieliło pomocy Żydom. Jak zauważa Dariusz Libionka, wśród blisko sześciu tysięcy Polaków odznaczonych medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” wielu nie było związanych z konspiracją, motywy zaś ich działania były złożone (Libionka 2017, s. 257). Czemu oni nie wiązali się z podziemiem? Czemu ci będący w podziemiu nie pomagali? Czy konspiracja dawała im w sferze psychicznej coś, czego nie mogło im zapewnić pomaganie Żydom?

Jest to jednocześnie problem szerszy, wykraczający poza granice Polski i samej drugiej wojny światowej. Problem, który znakomicie zdiagnozował Albert Camus w Upadku, gdzie główny bohater mówi w pewnym momencie:

„Przyjechałem do południowej strefy z zamiarem zasięgnięcia wiadomości o ruchu oporu. Ale gdy na miejscu zobaczyłem, jak rzecz wygląda, zawahałem się. Przedsięwzięcie wydało mi się trochę szalone i, żeby rzec prawdę, romantyczne. Myślę jednak przede wszystkim, że akcja podziemna nie odpowiadała ani mojemu temperamentowi, ani upodobaniu do powietrznych szczytów. Odnosiłem wrażenie, że żądają ode mnie, bym tkał przez dnie i noce w piwnicy, czekając, aż dzicz przyjdzie mnie wyrzucić, zniszczy wpierw moją tkaninę, po czym zaciągnie mnie do innej piwnicy, by zatłuc na śmierć. Podziwiałem tych, którzy oddawali się temu głębinowemu bohaterstwu, ale nie potrafiłem ich naśladować”.

Książkami o podziemiu, o jego blaskach, a rzadziej o cieniach, zapełniono już niejedną regał biblioteczny. Ale choć znamy przebieg wielu akcji, struktury, choć poznajemy biografie kolejnych postaci, to ciągle nie do końca rozumiemy ich decyzje, ich bohaterstwo oraz jego limity.

Korekta językowa: Beata Bińko

Bibliografia:

- Bartoszewski W., 3.02.1971, Archiwum Akt Nowych, akta Tomasza Strzembosza, sygn. 409, relacja spisana przez Strzembosza T.
- Fromm E. (2014a), *Ucieczka od wolności*, tłum. Zimilscy O. i A., Warszawa.
- Fromm E. (2014b), *Anatomia ludzkiej destrukcyjności*, tłum. Karłowski J., Poznań.
- Jankowski J. (1980), *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, t. I, Warszawa.
- Karski J. (2014), *Tajne państwo. Opowieść o polskim Podziemiu*, Kraków.
- Kochanowski J. (2016), *Cywilne strategie przetrwania 1939-1945*, [w:] „Fikcyjna rzeczywistość”. *Codziennosc, swiaty przezywane i pamiec niemieckiej*

okupacji w Polsce, red. Traba R., Woniak K., Wolff-Powęska A., Warszawa-Berlin.

Korboński S. (1981), *Polskie Państwo Podziemne jako zjawisko socjologiczne*, „Zeszyty Historyczne”, nr 58.

Korboński S. (2005), *W imieniu Rzeczypospolitej*, Warszawa-Waszyngton.

Lewandowski Z. (1985), *Wierni przysiędze*, [w:] Nakielski H., *Biret i rogatywka*, Warszawa.

Libionka D. (2017), *Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie*, Lublin.

Likiernik S., 26.07.1971, AAN, ATS, sygn. 45, notatka z rozmowy spisana przez Strzembosza T.

Pieter J. (1971), *Strach i odwaga*, Warszawa.

Pniwska-Sieciechowicz A., 9.07.2012, Muzeum Powstania Warszawskiego, Archiwum Historii Mówionej, relacja spisana przez Rafalską-Dubek M.

Rybicki J.R., 12.05.1977, AAN, ATS, sygn. 45, relacja spisana przez Strzembosza T.

Szarota T. (1988), *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Warszawa.

Zaremba M. (2012), *Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków.

[Kim byli churchilłowscy „nieliczni”?](#)



JAN SZKUDLIŃSKI

Kim byli churchilłowscy „nieliczni”?

Pod datą 20 sierpnia 2010 r. na stronie internetowej polskiego wydania „Newsweeka” zamieszczono artykuł pod tytułem „70 lat temu Churchill dziękował Polakom za bitwę o Anglię”. Chodzi oczywiście o jedno z najsłynniejszych

przemówień wygłoszonych przez brytyjskiego premiera, w którym pada zdanie: „Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. Przekonanie, że w wypowiedzi tej brytyjski premier miał na myśli 144 polskich pilotów myśliwskich, którzy należeli do najskuteczniejszych lotników broniących brytyjskiego nieba przez Luftwaffe, wydaje się dość powszechne. Wyniki internetowego wyszukiwania pokazują szereg trafień z popularnych portali dla szukających łatwych rozwiązań uczniów, jak również podobne wypowiedzi z blogów czy serwisów medialnych. Portal Polskiego Radia opublikował 2 sierpnia 2014 r. tekst pt. Dywizjon 303 – bohaterzy bitwy o Anglię, gdzie napisano: „Do historii przeszły słowa ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, który wspominając udział Polaków w bitwie o Anglię, powiedział: »nigdy w historii ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak nielicznym«. Serwis internetowy Radia Wnet, donosząc o rozpoczęciu zdjęć do filmu „Dywizjon 303”, napisał: „Winston Churchill powiedział o polskich lotnikach: »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. I miał absolutną rację”. Recenzentka powieści Remigiusza Mroza pt. Turkusowe szale o 307 Dywizjonie Nocnym, „Lwowskich Puchaczach”, napisała: „Polscy piloci, strzelcy, radiooperatorzy i mechanicy wykonywali swoją pracę doskonale. Winston Churchill powiedział o nich: »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. Miał absolutną rację...”. Często też spotykam się z tym twierdzeniem w debatach historycznych toczonych na odczytach, konferencjach – wygłaszanym niekiedy przez doświadczonych historyków – jak i na internetowych forach czy portalach społecznościowych.

Czy jednak Winston Churchill rzeczywiście mówił o Polakach? Treść przemówienia, dostępna na stronach Towarzystwa Churchillowskiego, nie sugeruje niczego podobnego. To długie przemówienie, poruszające różne wątki, w części tylko poświęcone jest pilotom myśliwskim. Ponadto brytyjski premier pragnie przypomnieć także poświęcenie pilotów brytyjskich samolotów bombowych, którzy wykonują w bardzo trudnych warunkach działania odwetowe przeciwko Niemcom, nie uzyskując z tego powodu nawet ułamka uznania przypadającego pilotom myśliwskim. Jednakże wątpliwości nie pozostawia fakt, że we fragmencie swej mowy mówiącej o „nielicznym” Churchill wprost mówi, że ma na myśli „lotników brytyjskich”. I nie mogło być inaczej. Winston Churchill nie mógł dziękować polskim lotnikom w swojej mowie, ponieważ w chwili, gdy mowę tę wygłaszał, czyli 20 sierpnia 1940 r., Dywizjony 303 i 302, które miały okryć się zasłużoną sławą, nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. W walkach uczestniczyło już kilkunastu polskich pilotów, ale w składzie dywizjonów brytyjskich. Dywizjon 303 wszedł do walki 11 dni po mowie Churchilla i w zaciętych walkach stał się najskuteczniejszą jednostką Fighter Command wyposażoną w starsze maszyny Hawker Hurricane i, z około 55 zestrzeleniami, jednym z trzech najskuteczniejszych dywizjonów Fighter Command. Choć więc polskie dywizjony zyskały zasłużenie ogromną sławę podczas bitwy o Anglię, mowa Churchilla miała miejsce wcześniej, brytyjski premier nie mógł więc sławić w niej polskich lotników.

Skąd zatem wzięło się to przekonanie? Gdyby szukać źródła, z którego kolejne pokolenia Polaków czerpią wiedzę na temat, jedynym wyborem jest bez wątpienia arcydzieło (30 polskich wydań!) Dywizjon 303 Arkadego Fiedlera, z której to książki pokolenia Polaków czerpią wiedzę o dokonaniach polskich lotników.

Także i ja po raz pierwszy zapoznałem się z tym cytatem właśnie w reportażu Fiedlera, po który sięgnąłem wcześniej, niż wymagał tego kanon lektur szkolnych. Spójrzmy więc, jak Arkady Fiedler użył churchillowskiego cytatu: „Winston Churchill już po pierwszej fazie bitwy oddał brytyjskim myśliwcom [podkr. J. Sz.] najwyższy honor. Wyrażający się często dosadnie, wypowiedział o nich wiekopomne słowa »Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few«”. W kolejnym akapicie Fiedler pisze: „W tym dzielnym hufcu walczyli także obok brytyjskich towarzyszy także polscy myśliwcy. Ich dywizjon [...] sławny Dywizjon 303 – wszedł do bitwy w ostatniej, decydującej fazie i walczył przez 43 dni, od 30 sierpnia poprzez wrzesień do 11 października 1940 roku”.

Jak widzimy, uważna lektura tekstu Arkadego Fiedlera nie pozostawia wątpliwości, że mowa Churchilla poprzedzała wejście do akcji Dywizjonu 303 i że brytyjski premier, wypowiadając wiekopomne słowa, miał na myśli brytyjskich pilotów myśliwskich. Jednakże sugestia pozostaje silna. Na tyle silna, że Janusz Termier, autor tekstu wprowadzającego do kolejnego wydania książki pisał: „Sam premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill powiedział po »bitwie o Anglię«, że »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. A miał na myśli także i polskich lotników...” [podkreślenia J. Sz.]. O ile mi wiadomo, wstęp Janusza Termiera do wydania z 1974 r. zamieszczany był także w kolejnych wydaniach Dywizjonu 303. Katarzyna Ćwiąkała, autorka przeznaczonego dla uczniów opracowania zamieszczonego w jednym z najnowszych wydań książki pisze nawet: „Słowa brytyjskiego premiera Winstona Churchilla były hołdem dla polskich lotników [podkreślenie oryginalne]. Nie dziwi zatem popularność twierdzenia, iż churchillowscy „nieliczni” to Polacy. Można sądzić, że przekonanie, iż jedna z największych postaci XX wieku osobiście doceniła bohaterstwo Polaków, wyniesie ze szkoły każde kolejne pokolenie uczniów – także i tych, którzy zamiast lektury przeczytają jej internetowe omówienia czy łatwo dostępne bryki.

Jak jednak wykazałem wyżej, to nie Arkady Fiedler ukuł mit głoszący, że „nielicznymi” w mowie Winstona Churchilla byli piloci polscy. Dlaczego autor wstępu do Dywizjonu informację tę zawarł? Przypuszczam, że przyczyną tego jest poczucie nieustannego „głodu sukcesu” odczuwanego przez jakże wielu Polaków. Często mówi się, że my, Polacy, interesujemy się historią. Niestety, nie jest to prawda. Polacy historią nie tyle się interesują, co emocjonują. I ten nasz emocjonalny stosunek do własnych dziejów sprawia, że bardzo często przeinaczamy fakty historyczne tak, by „lepiej” oddawały nasze bohaterstwo.

Bibliografia:

[<http://www.newsweek.pl/swiat/70-lat-temu-churchill-dziekowal-polakom-za-bitwe-o-anglie,63435,1,1.html>]

[<https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/902181,Dywizjon-303-%E2%80%93-bohaterzy-bitwy-o-Anglie>]

[<http://www.radiownet.pl/publikacje/miedzynarodowa-produkcja-dywizjon-303-o-polskich-pilotach-walczacych-w-bitwie-o-anglie-spotkanie-z-księciem-williamem-i-projekty-na-100-lecie-polskiego-lotnictwa>]

[<https://historykon.pl/turkusowe-szale-recenzja/>]

[http://www.greg.pl/lektury/9,858_Dywizjon-303.html]

Żydowska autonomia? Społeczność żydowska w Polsce w pierwszych latach po II wojnie światowej



[Zdjęcie pochodzi z zasobów Archiwum IPN]

MAGDALENA SEMCZYSZYN

Żydowska autonomia?

Społeczność żydowska w Polsce w pierwszych latach po II wojnie światowej

W wyniku II wojny światowej diametralnej zmianie uległa struktura narodowościowa Polski. W wyniku eksterminacji i wywózek, a także zmiany granic wielonarodowościowy kraj zamienił się w państwo jednorodnie etnicznie. Szczególnie doświadczeni zostali polscy Żydzi. Zagładę przeżyło zaledwie około 240 tys. z 3,3 mln żydowskich obywateli II RP. Większość ocalała na terenach ZSRR. Tylko niewielka garstka przetrwała okupację w partyzantce, na tzw. aryjskich papierach i w obozach.

Wiosną 1945 r. ocalali z Zagłady zaczęli nazywać samych siebie biblijnym terminem Szerit ha'Pleta – ocalałe ostatki (1Krn 4,43). Ich położenie w Europie nazajutrz po wojnie było niezwykle trudne. Znakomita większość

straciła bliskich i dom. Wielu Żydów przebywało w obozach dla DP (*Displaced Persons*) w strefach okupacyjnych Niemiec, oczekując na możliwość emigracji do Palestyny, USA lub Kanady. Panowała atmosfera tymczasowości i niepewności co do dalszego losu. Po traumie zagłady nic nie mogło być już takie samo.

Podobne odczucia towarzyszyły Żydom w Polsce. Do końca lipca 1946 r., na podstawie porozumienia o ewakuacji obywateli polskich, z ZSRR do kraju wróciło około 136 tys. Żydów. Większość z nich została osiedlona na Dolnym Śląsku i w Szczecinie. To tu, na Ziemiach Zachodnich, zaczęto wkrótce lansować koncepcję odbudowy żydowskiego życia w Polsce. „Wróciliśmy do kraju różnymi drogami [...]. Niestety na miejscu nie znaleźliśmy naszych najbliższych, o których tragicznym losie w okresie okupacji dochodziły do nas wieści i co do których każdy z nas żywił na dnie duszy iskierekę nadziei, jak również nie znaleźliśmy niczego z naszego dorobku materialnego z lat przedwojennych [...]. Tak, stara księga, księga naszej przeszłości jest dla nas zamknięta. Musimy wszystko budować od nowa, musimy organizować sobie nowe życie w nowej, demokratycznej Polsce” – pisano w lipcu 1946 r. w pierwszym numerze »Tygodnika Informacyjnego. Organu Wojewódzkiego Komitetu Żydów Polskich w Szczecinie”.

Nowe życie

Pierwsi z pomysłem stworzenia „żydowskiego osiedla” (jidisz: jidiszer jiszew) na Dolnym Śląsku wystąpili byli więźniowie obozu Gross-Rosen i jego licznych filii. Obozy na Dolnym Śląsku przeżyło około 6 tys. polskich Żydów, którzy po wyzwoleniu skupili się w komitetach powstających spontanicznie m.in. w Wałbrzychu, Rychbachu (Dzierżoniowie), Kłodzku, Legnicy, Pieszycach i Bielawie. Tylko nieliczni ocaleni powrócili do dawnych miejsc zamieszkania. Większość, po krótkiej wizycie w rodzinnych stronach, wracała na Zachód, załamana wieściami o śmierci bliskich i zniechęcona bezskutecznymi próbami odzyskania mienia. W kolejnych miesiącach 1945 r. na teren Dolnego Śląska napływali także Żydzi z innych rejonów Polski. W czerwcu 1945 r. w Dzierżoniowie powołano Wojewódzki Komitet Żydów Dolnego Śląska (WKŻ). Wkrótce jego przedstawiciele wystosowali do Ministerstwa Administracji Publicznej (MAP) „Memoriał w sprawie osiedlenia się Żydów na obszarze Dolnego Śląska”, w którym znalazły się konkretne postulaty dotyczące budowy „żydowskiego osiedla” na tych terenach. Za miejscem przemawiały zarówno argumenty emocjonalne, jak i polityczne. Odrodzenie się szczątków żydowskiego świata na ponemieckich ziemiach miało wymiar symboliczny. „Wskazany jest – pisano w jednym ze sprawozdań komitetu w Bielawie – żeby właśnie tutaj, gdzie Żydzi byli ujarzmieni, harowali, tracili swoje zdrowie i siły dla innych, tworzyli teraz jako wolni, odrodzeni ludzie, nowe życie”. Pomysł zyskał poparcie ministra Edwarda Ochaba, władz Centralnego Komitetu Żydów Polskich (CKŻP) oraz Komitetu Organizacyjnego Żydów Polskich w Moskwie.

Koncepcje władz komunistycznych

Stosunek władz komunistycznych w Polsce do ludności żydowskiej był skomplikowany i zmieniał się w zależności od sytuacji politycznej i aktualnej linii ZSRR w sprawie palestyńskiej. W pierwszych kilku latach po wojnie zwyciężyła koncepcja żydowskiego osadnictwa. Przychylny stosunek władz do ludności żydowskiej wynikał z pragmatyzmu. Odradzające się życie żydowskie w

Polsce z jednej strony stanowiło realizację zapowiedzi zawartej w manifeście PKWN („Żydom po bestialsku tępionym przez okupanta zapewniona zostanie odbudowa ich egzystencji oraz prawne i faktyczne równouprawnienie”), z drugiej zaś miało legitymizować rzekomo demokratyczny, walczący z antysemitkami uprzedzeniami charakter nowych rządów nad Wisłą w oczach Zachodu. Dla władz komunistycznych inicjatywa byłych żydowskich więźniów stała się częścią szerszego planu dotyczącego zasiedlenia Ziemi Zachodnich. Stanowiła zarazem remedium na problem związany z tzw. repatriacją polskich Żydów z terenów ZSRR. W gremiach kierowniczych PPR pojawiło się kilka koncepcji dotyczących żydowskiego osadnictwa. Wszystkie dotyczyły terenów ponemieckich. Latem 1945 r. w planach MAP brano pod uwagę tereny Dolnego Śląska lub Prus Wschodnich (Warmia i Mazury). Toczące się przez kolejne miesiące spory dotyczyły przede wszystkim sposobu rozlokowania repatriantów żydowskich. Czy tworzyć zwarte skupiska żydowskie, czy też – jak nalegały m.in. władze w Szczecinie – rozproszyć przybyłych, tak aby zerwać z tradycją żydowskich kwartałów. Na forum Frakcji PPR przy CKŻP działacze z Dzierżoniowa wypowiadali się stanowczo za stworzeniem na ponemieckich terenach jednego ośrodka żydowskiego.

O wyborze Ziemi Zachodnich zdecydowało kilka czynników. Po pierwsze, warunki materialne – opuszczone przez Niemców mieszkania, gospodarstwa rolne i fabryki. Po drugie, zwarte osadnictwo w dużych skupiskach miejskich miało być gwarancją bezpieczeństwa osadników żydowskich. Liczono, że na „neutralnym” obszarze zniknie problem sporów o mienie pozostawione w czasie wojny i przejęte następnie przez sąsiadów lub znacjonalizowane. Nowe tereny i brak bliższych więzi pomiędzy osadnikami przybyłymi z różnych stron przedwojennej Polski w znacznym stopniu niwelowały także problem nastrojów antysemitkich (które, notabene, nowa władza przypisywała tylko swoim politycznym przeciwnikom, „spadkobiercom sanacyjnej Polski” i podziemiowi poakowskiemu). Niemniej ważny okazał się wymiar propagandowy – po klęsce III Rzeszy Żydzi masowo przyjeżdżali na ziemię, które stały się symbolem historycznego rewanżu. Pojawiały się również opinie, że ocaleni na terenach ZSRR, na ogół postrzegani jako przychylni nowej władzy (w przeciwieństwie do sporej części polskich osadników), będą stanowić podstawę kadrową dla działalności PPR i budowy struktur administracyjnych na Ziemiach Zachodnich. Ponadto hasło budowy żydowskiego osiedla w kraju było głównym argumentem przeciwko emigracji, do której nawoływali syjoniści.

W styczniu 1946 r. przedstawiciel Agencji Żydowskiej, Mosze Iszaj, w jednym z listów pisał na temat planu osadnictwa repatriantów żydowskich na Ziemiach Zachodnich: „Można powiedzieć, że to taki plan polskiego Birobidżanu [...]. Powstanie odosobniona i wyobcowana enklawa żydowska – taka żydowska wyspa pośród nie-Żydów, którzy nigdy nie pałali wielką miłością do Żydów”. Istotnie, pomysł budowy „żydowskich osiedli” na Dolnym Śląsku przywodził na myśl koncepcję istniejącej w latach 30-tych XX wieku Autonomicznej Żydowskiej Republiki Socjalistycznej w Birobidżanie na Dalekim Wschodzie. Oba eksperymentalne przedsięwzięcia łączył sprzeciw wobec emigracyjnych dążeń syjonistów i propagandowy cel – stworzenie „socjalistycznego Żyda”. W przeciwieństwie do Iszaja władze w kraju liczyły na pozytywne rezultaty przedsięwzięcia. Dostosowanie nowej, „żydowskiej ulicy” do socjalistycznych warunków i integracja ludności żydowskiej z polskim społeczeństwem miały

dokonać się, zgodnie z duchem czasu, m.in. poprzez pojawienie się Żydów w takich gałęziach gospodarki, jak: górnictwo, rolnictwo i przemysł ciężki.

Reglamentowana autonomia

Od stycznia do lipca 1946 r. na Dolny Śląsk przybyło prawie 87 tys. żydowskich repatriantów z ZSRR. Najwięcej osób rozlokowano we Wrocławiu, Dzierżoniowie, Wałbrzychu, Bielawie, Legnicy i Kłodzku. Już w kwietniu pojawiły się problemy z rozlokowaniem kolejnych transportów, stąd też – decyzją władz – 30 tys. osób skierowano do Szczecina. Przez chwilę Żydzi stanowili przeszło 40% mieszkańców tego miasta.

Ziemie Zachodnie, poza Łodzią i Górnym Śląskiem, stały się miejscem największego skupiska ocalałych z zagłady. Na Dolnym Śląsku osadnictwo objęło 42 miejscowości (33% ogółu ludności żydowskiej w Polsce). W Dzierżoniowie i Bielawie Żydzi byli w większości, przywołując na myśl przedwojenne, kresowe sztettele. Jednak teraz – po traumie zagłady i w nowej, socjalistycznej rzeczywistości – wszystko miało być inne.

Pomimo trudności organizacyjnych i emigracyjnej agitacji syjonistów entuzjaści, tacy jak Jakub Egit (przewodniczący WKŻ na Dolnym Śląsku) czy Szymon Zachariasz (Fracja PPR przy CKŻP), zapewniali, że możliwa jest nie tylko odbudowa żydowskiej społeczności, ale także zmiana tradycyjnego modelu życia „na żydowskiej ulicy”. Równouprawnienie Żydów na polu zawodowym miało służyć integracji z resztą społeczeństwa oraz zerwaniu z historyczną spuścizną. Stąd szczególnie nośne hasło produktywizacji ludności żydowskiej – otwarcia jej na nowe zawody, niewystępujące do tej pory w żydowskiej tradycji, kojarzonej zazwyczaj z handlem i rzemiosłem. Dobitym przykładem tych przemian były żydowskie spółdzielnie zawodowe rozsiane na Dolnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim. W 1947 r. istniało już ponad sto tego typu placówek.

Mocnym akcentem produktywizacji było osiedlenie części przybyłych repatriantów żydowskich w kolektywach rolniczych. „Ma to wielkie znaczenie moralne – pisano na łamach prasy – zwalczając przesąd, jakoby Żyd nie może być rolnikiem”. Nagłaśniano także inne akcje, takie jak np. przyjęcie kilkuset Żydów do pracy w śląskich kopalniach lub powołanie żydowskiej spółdzielni rybackiej w Trzebiatowie. Żydzi uzyskali nieograniczony dostęp do szkół, uczelni i pracy w administracji, jednak w ujęciu propagandowym „żydowskie osiedle” tworzyli przede wszystkim robotnicy. Ten zamysł dobrze oddają kadry powstałego w 1947 r. w wytwórni „Kinor” filmu dokumentalnego *Jidiszer Jiszew in Niderszlezje* („Żydowskie osiedle na Dolnym Śląsku”). Znaleźli się na nich m.in. Żydzi-górnicy pracujący w kopalni „Bolesław Chrobry” w Wałbrzychu, robotnicy dzierżoniowskich i wrocławskich spółdzielni oraz uśmiechnięci rolnicy.

Do 1949 r. oficjalny kurs polityki komunistów wobec ludności żydowskiej był dość liberalny. Szereg inicjatyw kulturalnych, gospodarczych i politycznych sprawiło, że Żydzi – w przeciwieństwie do innych mniejszości narodowych – uzyskali namiastkę autonomii narodowo-kulturalnej. Wyjątkowym zjawiskiem była legalna działalność aż ośmiu żydowskich partii politycznych (w tym większości o profilu syjonistycznym). Na Ziemiach Zachodnich otwarto setki instytucji występujących pod żydowskimi szyldami: szkoły, domy dziecka, kółka

dramatyczne, kluby sportowe, kibuce, redakcje gazet i wydawnictwa. We Wrocławiu działał Teatr Żydowski, w Wałbrzychu Szpital Żydowski im. Dawida Guzika, a w samym Szczecinie 26 spółdzielni produkcyjnych i 7 kibuców. Życie religijne zostało ujęte w ramy mojżeszowych kongregacji wyznaniowych. Ponadto istniało ciche przyzwolenie na działalność międzynarodowych organizacji żydowskich oraz emisariuszy palestyńskich, werbujących młodzież w szeregi syjonistycznych partii oraz organizujących nielegalną emigrację. W Bolkowie na Dolnym Śląsku w latach 1947-1948 działał obóz szkoleniowy Hagany, który ukończyło przynajmniej około 2000 osób, skierowanych następnie do Palestyny. Wszystko to świadczyło o sporym pragmatyzmie władz. Z jednej strony hasło żydowskiego osadnictwa w kraju, z drugiej – nieoficjalne wsparcie dla organizacji syjonistycznych dążących do emigracji szły w parze ze strategią Stalina, liczącego w pierwszych latach po wojnie na budowę na Bliskim Wschodzie państwa żydowskiego zorientowanego prosowiecko.

Exodus

Załamanie osadnictwa żydowskiego na Ziemiach Zachodnich nastąpiło latem 1946 r. W wyniku pogromu w Kielcach (4 lipca 1946 r.) zapanowała panika, która zaowocowała masową emigracją ludności żydowskiej na Zachód. Wyjeżdżano głównie z pomocą działaczy nielegalnej syjonistycznej organizacji Bricha (hebr. ucieczka), której struktury istniały w Polsce od 1944 r. Ważnymi punktami przerzutowymi Brichy były: Szczecin, Kłodzko, Mieroszów, Zgorzelec, Żary, Kudowa. W wyniku wydarzeń w Kielcach doszło do nieformalnego porozumienia pomiędzy najwyższymi władzami w kraju i syjonistami, organizującymi nielegalną emigrację. Na jego podstawie otwarto dla Żydów polsko-czechosłowackie przejścia graniczne w Kudowie i Mieroszowie. Tylko w lipcu-wrześniu 1946 r. przez odcinek dolnośląski wyemigrowało 68 680 Żydów, a kolejne 23 520 nielegalnie opuściło kraj przez Szczecin. Granicę z Czechosłowacją przekraczało codziennie kilkanaście grup liczących łącznie 500-800 osób. Teren w rejonie Kłodzka, Kudowy i Wałbrzycha przypominał koczownicze obozowiska, w których Żydzi oczekiwali na dogodny moment dla przekroczenia granicy. Szlaki wiodły do Nachodu i dalej pociągiem do Cheb i Asch – miasteczek położonych blisko granicy czechosłowacko-niemieckiej. Dalej emigrujący udawali się do licznych obozów DP, skąd próbowali przedostać się do Palestyny.

Stan taki trwał do przełomu 1946/1947 r., gdy komunistyczne władze w Warszawie, pod naciskiem dyplomacji brytyjskiej (Wielka Brytania sprawowała wówczas mandat nad Palestyną), zdecydowały się zamknąć granicę. Z pomocą Brichy do końca trwania tajnej umowy Polskę opuściło około 140 tys. Żydów. Wiosną 1947 r. na Dolnym Śląsku znajdowało się około 52 tys. ludności żydowskiej (47% ogółu w kraju), w Szczecinie już tylko 6 tys. osób (6,8%). Kolejne dwa lata były dla pozostającej w kraju społeczności żydowskiej okresem normalizacji, jednak wydarzenia w Kielcach i masowy exodus zniweczyły marzenia tych, którzy uwierzyli w możliwość budowy „żydowskiego osiedla” w Polsce.

Koniec iluzji

Od 1948 r. kurs polityki ZSRR wobec powstałego państwa Izrael ulegał stopniowo zmianie, ewoluując ku otwartej wrogości i walce z syjonizmem.

Wielka polityka skutkowała stopniowym ograniczaniem Żydom możliwości swobodnego rozwoju w powojennej Polsce. Pod koniec lat 40-tych koncepcja „żydowskiego osiedla” na Ziemiach Zachodnich stała się niewygodnym epizodem. Jej wielki zwolennik, Jakub Egit, w swoich wspomnieniach zatytułowanych Grand Ilusion („Wielka iluzja”) wspominał, że pierwszym zwiastunem tych zmian była sprawa wycofania ekspozycji poświęconej śląskim Żydom, która w 1948 r. miała stać się częścią wystawy Ziem Odzyskanych. Wizytujący wystawę pracownik wrocławskiego UB w następujących słowach zwrócił się do czuwającego nad całością prac Egita: „Towarzyszu Egit, wam się wydaje, że jesteście w Izraelu. Ten pawilon byłby odpowiedni w Tel Awiwie, ale tu jest Polska”. Wkrótce działacz usłyszał zarzuty o nacjonalizm, propagowanie żydowskiej odrębności i... próbę uczynienia z Dolnego Śląska drugiego Izraela. W 1949 r. kierownictwo PPR podjęło szereg decyzji mających na celu likwidację lub upaństwowienie instytucji i placówek żydowskich. Zdelegalizowano wszystkie żydowskie partie i organizacje społeczne, zezwolono także na kolejną akcję emigracyjną (1949/1950). Odgórnie zarządzane działania położyły kres autonomii „żydowskiej ulicy”. Z roku na rok coraz mniejszą społeczność żydowską na Ziemiach Zachodnich ostatecznie rozproszyły kolejne fale szykan i emigracji. Symbolicznym końcem powojennego życia żydowskiego w Polsce stał się Marzec 1968 r.

Korekta językowa: Anna Bartoś